



NA WAKACJACH W KRAJU

spędzają beztrąsko czas dziewczęta i chłopcy — dzieci polskich wychodźców we Francji, Belgii i innych krajach zachodniej Europy. Fotreportaż z pobytu młodzieży Polonii zagranicznej zamieszczamy na stronach 12 i 13

Fot. „Świat” — J. Kosidowski

SWIAT NASZA KRONIKA

FELIETONISTA dwutygodnika „Teatr” zastanawia się, dlaczego to w naszych teatrach tak słabo rozlegają się oklaski widowni. Ludzie w Polsce do teatru chodzą tłumnie jak nigdy, a swoim uczuciom nie dają zbyt gorącego wyrazu przy pomocy oklasków. Felietonista e. a. pisze ironicznie, iż aktorzy nasi już odzwyczaili się od tego popularnego wyrażania się opinii i podziękowania publiczności, „naród zaś, który spieszy do szatni, któremu jest zimno i gorąco, który zbyt się spieszy na kolację, żeby klaskać, naród, który nazajutrz musi wstać o siódmej rano, a być może wcześniej — uważa, że zapłacił za bilet złotych pięć do dwudziestu pięciu. W cenę biletu wliczone są trzy akty, dwie przerwy, szatnia, autor, reżyser, dekorator, tudzież gra artystów i artystek. Nie ma żadnego obowiązku dodatkowego nagradzania ich oklaskami, kiedy się podobają”.

Jest to nic nie tłumaczące tłumaczenie, a na dodatek bardzo krzywdzące naszą publiczność. Cóż to się bowiem z tą publicznością stało? Wiadomo przecież, że polska publiczność zawsze kochała teatr i aktorów. Ta dawna publiczność to było nie tylko mieszczaństwo. To była i młodzież, i robotnicy, i inteligencja. Dziś zasięg publiczności się powiększył. Jest to w dużej mierze widownia, która nie ma w sobie nic z cynizmu i nic ze zblazowania. A jednak rzeczywistość — i tu ma rację e. a. — stosunki między publicznością i teatrem — nie są najczulsze.

CZY przyczynę stanowi tylko ów nie wiadomo skąd płynący obojętny stosunek widza do wykonawców. Nie tylko. Wiele winy, moim zdaniem, leży po stronie teatru, który dziś niewłaściwie, piórem e. a., zgłasza żale. Niestety, wiele fałszywych założeń teoretycznych niektórych naszych ludzi teatru doprowadziło do stworzenia sztucznej przegrody między widzami i aktorem.

Oklaski. Ba, oklaski. Ileż w naszym teatrze uczyniono, by się nie rozlegały. Na przykład zakaz podnoszenia się kurtyny i wychodzenia aktorów po każdą akcję. Publiczność klaszcze, chce dziękować, ale ma do czynienia tylko z ładniejszą lub brzydszą martwą kurtyną. A tymczasem widzimy niejeden u nas teatr radziecki, któremu wcale nie uchybia, że po każdym akcie aktorzy spotykają się z publicznością.

Teatr to coś w życiu naszym odświętnego. Tymczasem w teatrach naszych praktycznie skasowano takie tradycyjne święto teatralne jak premiera. Uroczystą premierę czyli pierwsze przedstawienie roztopiono w kilku nijakich spektaklach, z których żaden nie jest owym najpierwszym przedstawieniem, gdy wywołuje się aktora, reżysera, wykonawców, gdy artystom wręcza się kwiaty.

Bo i kwiaty w naszym teatrze skasowano. Figurują one na scenie tylko wówczas, gdy przyjeżdża teatr obcy, z zagranicy. Dla swoich — kwiatów nie mamy. Zakazane! Tak jest, nie wolno akto-

rom naszym wręczać kwiatów na scenie.

Powiedzmy, że bardzo mi się podoba Skarżanka i powiedzmy, że jej nie znam. Cóż mogę zrobić, by wyrazić swój podziw? E. A. radzi, żeby klaskać. No tak, ale jeśli gra ona tylko w drugim akcie, to nigdy nie spotka się z moimi oklaskami, z moim entuzjazmem, bo już po ostatnim akcie z resztą kolegów nie wyjdzie do publiczności, bo już poszła na kolację. Nie tylko publiczność spieszy się na kolację, obywatelu e. a. Aktorzy także.

ALE to jeszcze nie wszystko. Dlaczego publiczność nie klaszcze? Dlaczego nie klaszcze długo i gorąco? Bo oto i nasze spektakle bywają zbyt często bardzo chłodne. W teatrze naszym, jak i w wielu innych dziedzinach naszej sztuki wiele jeszcze broi przesąd wstrzemięźliwości. Doprowadza on do tego, że sztuka przestaje spełniać podstawowe swoje zadanie: przestaje wzruszać. Staje się sztuczną, ale nie porywającą. Jakże często widać to na przykład przy realizowaniu komedii na naszych scenach. Jakże często zatracają one swój podstawowy element: śmiechu, humoru, dowcipu; a więc tym samym przestają oddziaływać na publiczność. Widzieliśmy takie przedstawienie „Zemsty”, które przechodziło wśród obojętnego milczenia widowni, podczas gdy sztuka ta to arcydzieło dowcipnych point. Mimo point mijał bez wrażenia każdy dowcip. A dlaczego? Bo Fredro na przykład włożył Papkinowi w usta takie słowa:

„I na śniegu twojej ręki złożyć ustek wyciśnienie...”

Dla każdego, umiającego normalnie czytać ten tekst, jest jasne, że dowcip polega na tym, że stary błazen o swojej gębie mówi jako o usteczkach. Ale co się dzieje na naszej scenie. Aktor — Papkin, zwracając się do Podstoliny, kładzie akcent nie na słowie „ustek” ale na „wyciśnienie”. Dowcip ginie — i mniej oklasków. I dla Fredry, i dla reżysera, i dla aktorów.

Głos e. a. podnosi się w słusznej sprawie. Wyręcza on słuszny niepokój. Teatr bowiem to nie tylko scena i jej ludzie. Teatr to scena plus widownia. Reakcja widowni stanowi wkład publiczności w życie i rozwój teatru. Nasza publiczność na pewno kocha teatr. Na pewno chce kochać twórców sceny, którym umie być wdzięczna. Kiedyś wypręgano konie z powozu Modrzejewskiej. Dziś gotowi jesteśmy podnieść Kreczmarę, Barszczewską, Wyrzykowskiego i innych w ich „Dekawkach” i nieść na ramionach przez miasto, a nie tylko obsypywać ich oklaskami.

Ale muszą nas do tego zmusić siłą swych talentów, dobywających wszystkich uczuć z niepomaganą siłą. Nie wierzę w mistycyzm. Nie wierzę, że Polacy mają być specjalnie pokrzywdzeni przez naturę w zakresie umiejętności entuzjazmowania się. Ja osobiście daję gorące brawo e. a., który podniósł tak ważną sprawę, choć uczynił to w niesłuszny sposób!

JAN SZELĄG

Z KRAJU I ZE SWIATA

Z KRAJU I ZE SWIATA

Z KRAJU I ZE SWIATA

NARUSZENIE PRAW POLSKIEJ BANDERY W



CAF

„Widok statków polskich w portach państw kapitalistycznych wyprowadza pewnych panów w Waszyngtonie ze stanu chwilowej równowagi nerwowej” — komentowała „Trybuna Ludu” napaść



policji brytyjskiej na statek „Jarosław Dąbrowski” (na zdjęciu strzeżony w porcie londyńskim przez kuter policyjny), pobicie członków załogi statku i uprowadzenie siłą kryminalisty Klimowicza.

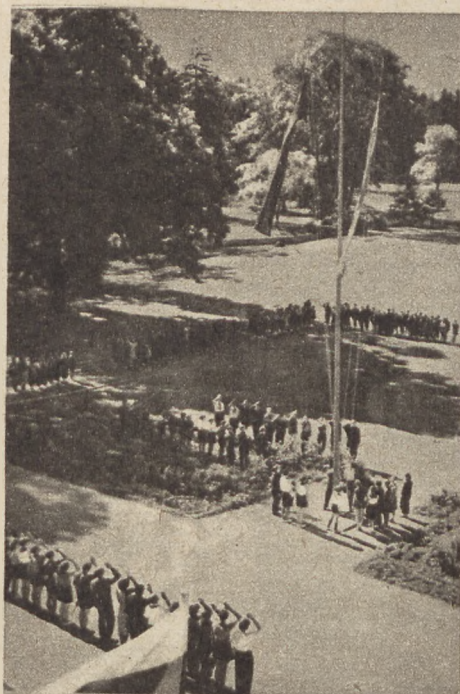
POLSKA TELEWIZJA



CAF

Ci groźnie wyglądający wojacy są tylko odtwórcami gruzińskiej bajki „Błękitny dywan”, występującymi przed aparatami Doświadczalnego Ośrodka Telewizyjnego w Warszawie. Kiedy będziemy oglądać programy telewizyjne w domowym zaciszu?

CIEPLICKIE SPOTKANIE



CAF

300 młodych gości z 10 państw spędziło tegoroczne wakacje w Cieplicach-Zdroju, malowniczej, śląskiej miejscowości

SUKCES POLSKIE



Gorąco przyjęła publiczność występy utalentowanej polskiej pianistki Lidii Grychtol, zorganizowane w ambasa-



Keystone

Tym samym statkiem przybyli do Polski w drodze do CSR lekarze amerykańscy Joseph i Ruth Cort, którym Anglia odmówiła azylu. Groziły im prześladowania polityczne w razie powrotu do USA

KSIĄZKI DLA SZKOŁ



CAF

Wakacje, niestety, mają się ku końcowi... W warszawskiej księgarni młodzież szkolna zaopatruje się już w podręczniki

PIANISTKI



Unity Studio

dzie PRL w Londynie. Wśród trzystu słuchaczy byli dyplomaci i przedstawiciele świata kulturalnego stolicy Anglii

CO MYŚLĄ NIEMCY?

Artykuł napisany specjalnie dla „Świata”

HANS JÜRGEN JESSEL

Redaktor pisma „Sonntag”

GDY przyjaciele polscy pytają mnie, obywatela Niemieckiej Republiki Demokratycznej, co myślą ludzie w Niemczech o propozycjach radzieckich w sprawie bezpieczeństwa zbiorowego w Europie i jak oceniają „casus John” — muszę wówczas, aby móc odpowiedzieć im należycie, zmienić nieco to pytanie: co myślą ludzie w Niemczech w ogóle o polityce? Ponadto muszę naturalnie podzielić moją odpowiedź, gdyż sytuacja w NRD różni się bardzo od sytuacji w Niemczech zachodnich.

Jest to prawda powszechnie znana i uznana też wszędzie teoretycznie, że pewną określoną sytuację polityczną badać należy w sposób rzeczowy i trzeźwy. My w Niemczech musimy specjalnie wystrzegać się dwóch skrajności — zarówno paraliżującego pesymizmu jak i upiększania rzeczywistości. Widzieliśmy już obie te tendencje i wyrządziły nam one wiele szkody.

Wiadomo mi z rozmów z przyjaciółmi i kolegami polskimi oraz z lektury gazet polskich (jakkolwiek nie władam niestety językiem polskim, mogę bądź co bądź odcyfrować tytuły w dziennikach), że ludność Polski poinformowana jest doskonale o życiu w NRD. Mogę więc ograniczyć się do krótkiej charakterystyki sytuacji w naszej Republice: chociaż niektórzy mieszkańcy NRD nie rozumieją naszej polityki we wszystkich szczegółach, to jednak przeważająca większość ludności zgadza się całkowicie z rządem w decydujących sprawach. Jedną z takich decydujących spraw jest również problem bezpieczeństwa zbiorowego w Europie i ludzie u nas uważają propozycje radzieckie za dobrą podstawę trwałego pokoju, upragnionego przez wszystkich.

Sytuacja w Niemczech zachodnich jest zasadniczo odmienna i bardziej skomplikowana.

Gdy podczas finałowych rozgrywek o mistrzostwa świata zachodnio - niemiecka drużyna piłkarska strzeliła trzecią bramkę, siedzieliśmy bardzo smutni przed naszymi aparatami radiowymi. Życzyliśmy Węgrom zwycięstwa nie tylko dlatego, że są naszymi dobrymi przyjaciółmi, nie tylko dlatego, że uważamy ich (również teraz) za najlepszych piłkarzy świata, lecz przede wszystkim także dlatego, że wiedzieliśmy z góry co nastąpi po tym zwycięstwie Niemców zachodnich: owe „Deutschland, Deutschland über alles”, którego nie chcemy już nigdy słyszeć. Niezwykła to dla nas sytuacja, że musimy wypowiadać się przeciwko naszym własnym rodakom i rozsądek mówi nam, że takie uczucia mogą łatwo doprowadzić do błędów politycznych — ale w każdym razie uczucia te istnieją.

A zatem szowinizm, musimy zdać sobie z tego jasno sprawę, stanowi jedno

niebezpieczeństwo (o drugim będzie jeszcze mowa). Nie chcę przez to powiedzieć, że szowinizm występuje stale ostro w szerokich masach w Niemczech zachodnich, ale pewnym warstwom ludności, przede wszystkim drobnomieszczaństwu, które zawsze stało się łatwym łupem reakcji — w dużo mniejszym stopniu dotyczy to klasy robotniczej i inteligencji — wystarczy już taki powód jak np. te mistrzostwa świata, aby popaść na nowo w stare błędy.

Państwo adenauerowskie nie robi naturalnie nic, by przeciwstawić się temu szowinizmowi, lecz odwrotnie, podsyca go. W „Podręczniku historii dla szkół realnych i średnich”, który ukazał się w roku 1953 (!) w Sztuttgarcie, znajdujemy następujące „uzasadnienie” napaści hitlerowskiej na Polskę w 1939 roku: „Polska nie potrafiła doprowadzić do tego, by mniejszość niemiecka pogodziła się ze swym losem. Przeciwnie, Niemcy w Polsce i mieszkańcy czysto niemieckiego miasta Gdańsk musieli wciąż wnosić skargi do Ligi Narodów na bezprawne postępowanie Polaków. Londyn wykazywał do tej pory zrozumienie dla słuszych żądań niemieckich w sprawie zwrotu „korytarza”; z chwilą jednak utworzenia Protektoratu, stanowisko Anglii wobec Niemiec stało się tak wrogie, że Polska mogła się ośmielić odrzucić żądanie Hitlera”. Widzimy więc, że już w szkole uczy się dzieci zachodnio - niemieckie, iż Hitler miał zupełną rację.

Za znacznie jednak większe jeszcze niebezpieczeństwo aniżeli nacjonalizm uważam skłonność wielu ludzi w Niemczech zachodnich do rezygnacji. Jest to mój pogląd osobisty, oparty na moich własnych doświadczeniach oraz relacjach przyjaciół i kolegów, którzy przebywali ostatnio w Niemczech zachodnich. Ci zrezygnowani nie wierzą we własne siły ani też w siły narodu; sądzą oni, że prości ludzie muszą przyjąć bez szemrania swój „los”.

Należy dodać, że nieznajomość stosunków w NRD, w Związku Radzieckim i krajach demokracji ludowej przybiera w Niemczech zachodnich w niektórych wypadkach wręcz groteskowe formy. Pewien przyjaciel, który niedawno musiał oddać swój samochód do naprawy w jednym z warsztatów we Frankfurcie n/Menem, opowiadał mi, że robotnicy tamtejsi początkowo w ogóle nie chcieli wierzyć, że w NRD produkuje się samochody i to tak nowoczesne. Ogromnie to ich zainteresowało i przyjaciel mój przez siedem godzin prowadził z nimi dyskusje polityczne.

Cóż myślą więc ludzie w Niemczech zachodnich o propozycjach radzieckich w sprawie bezpieczeństwa zbiorowego? Drobną ich część, niepoprawni faszyci i militaryści, odrzuci te propozycje już choćby dlatego, że pochodzą one od

Związku Radzieckiego. Komuniści, większość szeregowych członków partii socjaldemokratycznej i te warstwy burżuazji, które wypowiadają się za polityką rozsądku (w przeciwieństwie do amerykańskiej „polityki siły”), witają z uznaniem propozycje radzieckie albo uważają je co najmniej za dobrą podstawę do dyskusji. Trzecia i liczebnie prawdopodobnie największa grupa ludności zachodnio - niemieckiej pozna jedynie fragmenty tych propozycji i to w dodatku może jeszcze sfalszowane i zareaguje na nie jak zwykle: obojętnie, nieufnie, z rezygnacją. Przeważająca większość ludności Niemiec zachodnich nie żywi bynajmniej entuzjazmu dla Amerykanów lub dla Adenauera, ale uważa Eisenhowera i Dullesa za bardzo mocnych (ponieważ krzyczą tak głośno), Adenauera zaś za ich najlepszego sprzymierzeńca (i pod tym względem ma naturalnie rację), i sądzi że korzystne jest kroczenie śladem silnego. „Filozofia” ta tłumaczy również ów haniebny wynik wyborów z dnia 6 września 1953 roku.

Właśnie dla takich ludzi sprawa Johna stanowi bardzo skuteczne lekarstwo. Nikt nie może utrzymywać, że John był kiedykolwiek lub jest dzisiaj komunistą; również bajeczka o jego porwaniu nie przetrwała nawet 24 godzin. Tylko rząd boński, przynajmniej oficjalnie, chwycił się rozpaczliwie tej wersji, przez co jedynie się ośmieszył i nawet skądinąd wierna rządowi prasa musiała w tym wypadku odmówić posłuchu. Jeśli więc — mówią między sobą ludzie w Niemczech zachodnich, a także w NRD — tak wysoki urzędnik rządu bońskiego, doskonale zorientowany w tajemnicach i w możliwościach materialnych amerykańskich i zachodnio - niemieckich kół rządzących, dokonuje tak demonstracyjnego zwrotu — Eisenhower, Dulles i Adenauer nie mogą być w istocie rzeczy tak silni jak to sami twierdzą.

Pod wpływem takich rozważań coraz więcej ludzi w Niemczech zachodnich zbliża się do stanowiska politycznego, którego eksponentami są byli kanclerze niemieccy Brüning, Wirth i Luther, byli boński minister spraw wewnętrznych Heinemann, prezydent synodu ewangelickiego Niemoeller, uczony monachijski profesor Saller i inne znane osobistości z życia publicznego. Bez względu na różnice w poglądach tych ludzi na poszczególne kwestie, wszyscy oni — podobnie jak ci posłowie do Bundestagu z ramienia FDP (Wolna Partia Demokratyczna — jedno z bońskich stronnictw rządowych), którzy występują za wymianą handlową i nawiązaniem stosunków dyplomatycznych między Niemcami zachodnimi a Związkiem Radzieckim — prowadzą tę samą politykę rozsądku, leżącą również u podstaw propozycji radzieckich w sprawie bezpieczeństwa zbiorowego w Europie.

AZJA PO KONFERENCJI GENEWSKIEJ

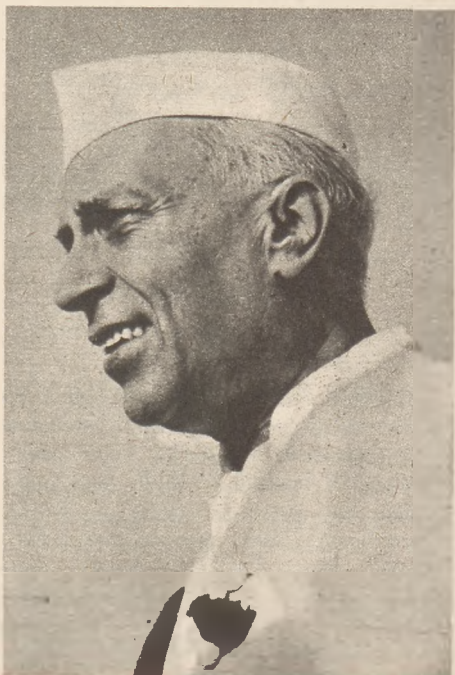


CZOU EN-LAI
Premier Chińskiej Republiki
Ludowej

„Nie ulega wątpliwości, że osiągnięcia konferencji genewskiej są olbrzymie. Perspektywy utrwalenia pokoju w Azji są jak najbardziej pomyślne. Jestem przekonany, że porozumienie osiągnięte w Genewie nie tylko kładzie kres wojnie w Indochinach, przynosi pokój narodom Indochin i Francji, lecz przyczyni się także do dalszego złagodzenia napięcia międzynarodowego zarówno w Azji, jak i na całym świecie”.

VIJAYALAKSHMI PANDIT
Przewodnicząca Zgromadzenia
Ogólnego Narodów Zjednoczonych

„Jestem szczęśliwa z powodu sukcesu konferencji genewskiej. Jest to niewątpliwie najważniejsze wydarzenie ostatnich lat”.



**PANDIT JAWAHARLAL
NEHRU**
Premier Indii

„Zawieszenie broni w Indochinach jest jednym z najdonioślejszych wydarzeń doby powojennej i po raz pierwszy od wielu lat nigdzie na świecie nie toczy się wojna.

Jest to ogromny krok naprzód, lecz jedynie pierwszy krok i przejść po nim powinny dalsze, stałe wysiłki i dalsze porozumienia celem zapewnienia pokoju na przyszłość.

Pragnę złożyć szczególne wyrazy uznania ministrom spraw zagranicznych: Wielkiej Brytanii, Związku Radzieckiego, Francji oraz Chin Ludowych. Każdy z nich bowiem odegrał wybitną rolę w tym doniosłym osiągnięciu”.

JOHN KOTELAWALA
Premier Ceylonu

„Układ o rozejmie w Indochinach będzie jeszcze jednym gwoździem do trumny kolonializmu w Azji”.



R. K. KARANIJA

AZJA WITA R INDOCH

Korespondencja własna „Świata”

ROZEJEM w Indochinach powitany został przez opinię azjatycką powszechnym niemal hymnem radości. Oto pokój zatryumfował nad morderczym spiskiem amerykańskim, uknutym w Genewie. Zatryumfował, choć zachodnie agencje prasowe rozpowszechniały najdziksze pogłoski wciąż przepowiadając w okresie między 26 kwietnia a 20 lipca fiasko konferencji, a w następstwie rozprzestrzenienie się wojny na Dalekim Wschodzie.

We wszystkich stolicach Azji z radością i ufnością podkreśla się, że rozejm w Indochinach to symbol zwycięstwa, jakie odniosła większość opinii światowej, walczącej o pokój, nad topniejącą garstką amerykańskich podżegaczy wojennych. Równocześnie zaś rozejm w Indochinach jest bezspornym tryumfem budzących się narodów Azji, a zarazem śmiertelnym ciosem w zachodni kolonializm. Rozpoczyna się nowa era w historii naszego kontynentu, kiedy Azja sama decydować będzie o swych losach, nie tolerując, by jakiegokolwiek czynniki obce — a zwłaszcza amerykańskie — wtrącały się do jej spraw.

Zarówno koła miarodajne, jak i prasa azjatycka zgodnie wskazują na to, że konferencja genewska ogromnie podniosła międzynarodowe znaczenie Chińskiej Republiki Ludowej, której przedstawicielowi, Czou En-laiowi, okazywano w Genewie najwyższe honory, a także przyczyniła się do wzrostu znaczenia Indii. Odegrały one w Genewie poważną rolę mediatora i jako drugie wielkie mocarstwo azjatyckie spośród sześciu wielkich mocarstw świata, zostały powołane do udziału w międzynarodowej komisji neutralnej nadzorującej rozejm w Indochinach.

Nawet przeciwnicy i krytycy obecnego ustroju w Chinach muszą dziś przyznać, że delegacja Chińskiej Republiki Ludowej w Genewie nie tylko zdobyła sobie szacunek wszystkich państw Zachodu, lecz utorowała Nowym Chinom

drogę do odzyskania należnego im miejsca w Organizacji Narodów Zjednoczonych. Nie jest wykluczone, że Indie wystąpią wkrótce z odpowiednim wnioskiem w ONZ. Należy się spodziewać, że Wielka Brytania i kraje Wspólnoty Brytyjskiej nie odmówią mu swego poparcia.

W komentarzach prasy azjatyckiej ocena konferencji genewskiej wiąże się ściśle z rozważaniami na temat historycznego porozumienia Czou En-lai — Nehru w Delhi. Wprawdzie dyplomacja amerykańska usiłowała w Genewie zbrojnie kotować Indie, a Czou En-lai zepchnąć na plan drugi, premier Chin Ludowych potrafił jednak nie tylko zdobyć sobie czołowe miejsce na konferencji, ale poniósł dzieło Genewy do Delhi, do Rangun i do Pekinu, by uzyskać dlań aprobatę Azji.

„Pięć podstawowych zasad pokojowego współistnienia”, ustalonych wspólnie przez premierów Nehru i Czou En-lai, a zawartych we wstępie do umowy indyjsko-chińskiej w sprawie Tybetu, podpisanej w kwietniu r.b., choć nie wiąże się bezpośrednio z Genewą — uważane jest powszechnie za rękojmię pokoju nie tylko w Indochinach i Azji, ale na całym świecie.

Gorący apel Nehru, aby podobny „pakt o nieagresji utrwalili pokój zarówno w Azji, jak i na całym świecie”, ma dziś znacznie większe szanse realizacji, aniżeli kiedykolwiek przedtem.

Indie i Chiny są już związane takim paktem wykluczającym wojnę. Burma akceptowała również „pięć zasad pokojowego współistnienia”. Indonezja prawdopodobnie pójdzie ich śladem. Rodzi się więc uzasadniony optymizm, że z chwilą przywrócenia pokoju w Indochinach powstają warunki, by wszystkie narody i wszystkie kontynenty związały się tą nową m a n t r a (formuła dobrego zaklęcia według wierzeń buddyjskich), wypróbowaną już na przykładzie stosunków chińsko-indyjskich.

Nawet Indie i Pakistan — dwie główne ofiary anglo-amerykańskiej polityki

ŻOŁNIERZE WIETNAMSKIEJ ARMII LUDOWEJ WITAJĄ RADOŚNIE WIEŚC



OZEJM ŃSKI

z Bombaju

„divide et impera“ (dziel i rządź) — mogłyby w tej nowej atmosferze, pod naciskiem sił pokoju, dojść do takiego porozumienia.

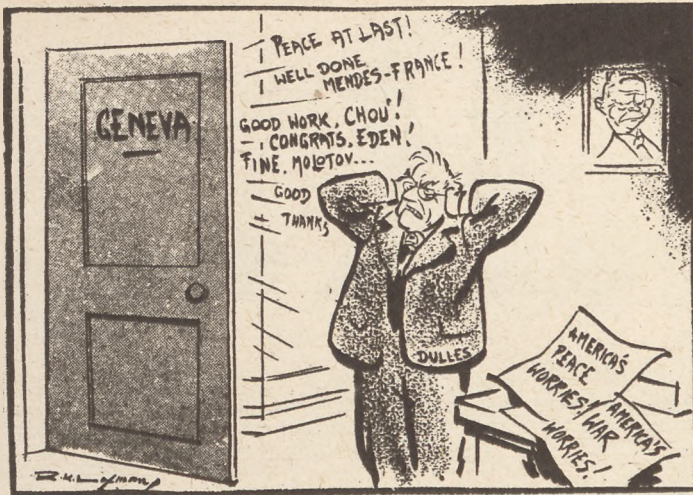
Niezależnie od sprawy pokoju światowego rozejm w Indochinach stwarza również pomyślne warunki dla rozwoju handlu międzynarodowego, a zwłaszcza ożywienia obrotów z Chinami Ludowymi. Kupcy całego świata, poczynając od Londynu i innych stolic europejskich, a na Delhi i ośrodkach handlowych Indii kończąc, zaczęli przejawiać ogromne zainteresowanie gospodarczymi możliwościami Chin. Nawet brytyjskie firmy w Bombaju zasięgają obecnie w Towarzystwie Przyjaźni Indyjsko-Chińskiej (którego prezesem jest Wasz korespondent) informacji o handlu i wymianie gospodarczej z nowym olbrzymem przemysłowym Azji.

Nowy klimat „robienia dobrych interesów z Chinami“ stanowi swoisty środek umocnienia pokoju światowego, prowadzi bowiem do tym większej izolacji władców USA, uparcie trzymających się polityki wojny.

Azja nie pozostaje obojętna na amerykańskie pogroźki. Premier Nehru kategorycznie odrzucił amerykańskie i brytyjskie projekty utworzenia agresywnego bloku w Azji. Kierownicze koła Partii Kongresu (rządzącej w Indiach) powitały z zadowoleniem rozejm w Indochinach i wyraziły nadzieję, że i inne obszary kolonialne w Azji i na całym świecie odzyskają wolność, co pozwoliłoby „uniknąć w przyszłości podobnych katastrof wojennych“.

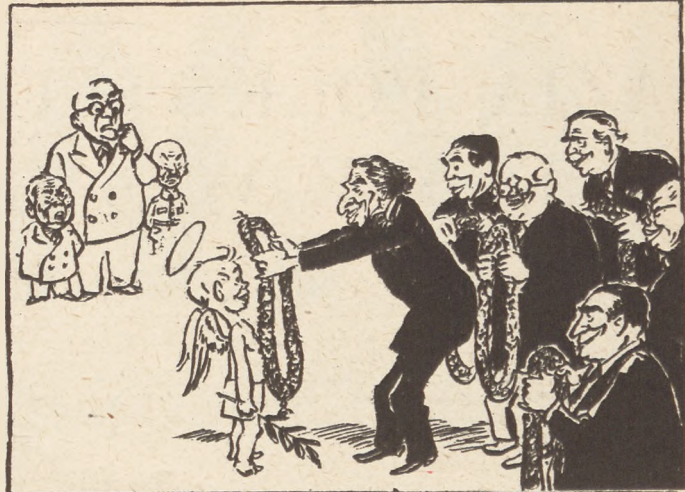
Rezolucja Partii Kongresu przestrzega też mocarstwa zachodnie przed podejmowaniem kroków, „niosących groźbę lub wywierających nacisk na jakikolwiek kraj lub grupę krajów, gdyż posunięcia takie zamiast przysłużyć się sprawie pokoju, muszą nieuchronnie wywołać podejrzenia i obawy“. Chodzi tu oczywiście o amerykański plan utworzenia SEATO, agresywnego paktu azjatyckiego.

O ROZEJMIE W INDOCHINACH



Cała prasa hinduska, od lewicy do prawicy, wykpiła stanowisko, jakie zajęły w Genewie Stany Zjednoczone.

Oto konserwatywny „Times of India“ ukazuje Dullesa, który zatyka sobie uszy, by nie słyszeć odgłosów, dochodzących zza drzwi obrad konferencji: „Nareszcie pokój!“, „Brawo Mendes-France!“, „Brawo Czou En-lai!“ itp.



A oto karykatura z „Andhra Prabha“, dziennika ukazującego się w Madras: Dulles i jego sojusznicy, Li Syn-man i Ciang Kai-szek, w obliczu sukcesów konferencji genewskiej.



Postępowy tygodnik „Blitz“ tak przedstawia izolację amerykańskiego sekretarza Stanu, cytując fragment z poematu Aleksandra Błoka „Dwunastu“:

Wicher, wicher —
Na całym bożym świecie
Kręci wichura śniegiem
I miecie.

Burżuj na ulic skrzyżowaniu
Nos siny chowa w ubraniu.
Tylko nędzne, głodne kundły
Płaczą się u nóg.

JULY 18, 1954

SHANKAR'S WEEKLY

AND THEN CAME
THE BAD FAIRY



Czołowy tygodnik satyryczny Indii prezentuje Dullesa jako złą wiedźmę nad kołyską pokoju w Indochinach.

W.W.R.

ZDJĘCIA: A. BATANOW, W. KOSZEWOJ, N. GRANOWSKI, L. WIELIKZANIN I W. GREBNIEW



Pawilon „Mechanizacji i elektryfikacji rolnictwa” — to 1200 nowoczesnych maszyn w 26 wielkich salach.

Te urocze jelenie cętkowane przebyły 3.000 kilometrów, by trafić do działu hodowli na moskiewskiej wystawie. Urodziły się i wychowały w górzystym Altaju, w Szebałińskim specjalistycznym sowchozie hodowlanym.



WYSTAWA W LICZBACH

Terytorium, zajęte przez Wszechzwiązkową Wystawę Rolniczą (W. W. R.) w Moskwie, obejmuje 207 hektarów. Ponad 300 pawilonów i innych budynków wystawy posiada łączną kubaturę 1.912.000 m sześć. Pawilon centralny ma wysokość 97 metrów. Zmieściłaby się w jego wnętrzu ogromna cerkiew Wasyla z Placu Czerwonego w Moskwie.

W 76 pawilonach wystawy znajduje się 3.705 stoisk, reprezentujących wszystkie dziedziny rolnictwa i hodowli. W salach znajduje się blisko 400 panoram i obrazów. Nad przygotowaniem wystawy pracowało m. in. 4200 rzeźbiarzy, malarzy, grafików i dekoratorów.

Wystawa reprezentuje osiągnięcia 169.000 uczestników, w tym 3900 kolchozów, 1300 sowchozów, ponad 400 stacji maszynowo-traktorowych, około 530 stacji i placówek naukowo-badawczych. Indywidualnych uczestników wystawy — pracowników socjalistycznego rolnictwa — jest około 155 tysięcy.

Pawilon mechanizacji i elektryfikacji rolnictwa, zbudowany z granitu, stali i szkła, zajmuje obszar 1,8 hektara. Znajduje się w nim 1200 różnych maszyn produkcji radzieckiej. Większość z nich — to nowe, wysokowydajne maszyny, stosowane dotąd wyłącznie w rolnictwie radzieckim.

Na całym terytorium wystawy posadzono ponad 40.000 drzew (w tym 5.500 owocowych) oraz 450.000 krzewów dekoracyjnych. Poza tym znajduje się na wystawie 5 milionów kwiatów, w tym 40.000 wieloletnich, i 50 tysięcy gatunkowych róż. Łączna powierzchnia wszystkich kwiatników przewyższa milion metrów kwadratowych.



TAK WYGLĄDAŁ OGROMNY PLAC KOLCHOZÓW



Uroczysty moment: minister rolnictwa ZSRR, I. A. Benediktów przecina wstęgę, dokonując otwarcia wystawy

JAK ZWIEDZA SIĘ WYSTAWĘ

Obliczono, że jeśli ktoś chciał oglądać każdy eksponat wystawy tylko przez jedną minutę, musiałby na wystawie spędzić trzy miesiące bez przerwy. Dlatego dla zwiedzających opracowano zróżnicowane szlaki zwiedzania, aby mogli oni obejrzeć wszystkie zasadnicze eksponaty w swojej specjalności.

Niezwykle starannie przygotowano programy pięciodniowych wycieczek na wystawę. Przewiduje się bowiem, że tylko w bieżącym roku przybędzie na wystawę w ramach wycieczek pięciodniowych 300.000 osób ze wszystkich krajów ZSRR. Niektórym z nich podróż w obie strony zajmie cztery razy więcej czasu, niż pobyt w Moskwie...

Tereny wystawy otacza Aleja Pierścieniowa, długości 12 kilometrów. Kursują po niej co 2,5 minuty trolejbusy. Poza tym przeprowadzono na terytorium wystawy 35 kilometrów dróg asfaltowych oraz 30 kilometrów żwirowych alei.

Wystawa ma najlepszych chyba, jakich można sobie wyobrazić, informatorów i przewodników: znaczną ich część stanowią bohaterowie wystawy — ci sami ludzie, których osiągnięcia stanowią przedmiot podziwu wycieczkowiczów. Oni to udzielają informacji o najnowocześniejszych metodach pracy, dzielą się swym doświadczeniem.

Dla użytku zwiedzających ukazało się ponad 150 różnych wydawnictw. W tej liczbie 80 — to szczegółowe monografie, opisujące metody pracy czołowych uczestników wystawy. Zwiedzający mogą nabyć także albumy fotograficzne, plakaty, ulotki i pamiątkowe wyroby artystyczne.

Z pracą czołowych uczestników wystawy mogą zwiedzający zapoznać się nie tylko drogą rozmowy, czy lektury. W sześciu specjalnych salach wyświetlane są filmy-reportaże o metodach pracy przodujących rolników, hodowców i pracowników mechanizacji. Filmów takich nakręcono z górą 150.

Dla przybywających na wystawę zbudowano w Moskwie specjalne hotele, położone blisko terenów wystawowych. Na samej wystawie czynne są restauracje i kawiarnie, sklepy i kioski, czytelnia i teatr.



PRZED CENTRALNYM PAWILONEM W MOMENCIE UROCZYSTEGO OTWARCIA W DNIU 1.VIII WSZECHZWIAZKOWEJ WYSTAWY ROLNICZEJ W MOSKWIE

CO MOŻNA ZOBACZYĆ?

Gdyby ktoś zapytał: co jest silniejsze — koń, czy trzytonowa ciężarówka? — pytanie takie mogłoby się wydać niezbyt rozsądne. W stajniach wystawy goście oglądają konia „Satyr“ z obwodu arzamasskiego, który uciągnął 15.453 kilogramy ładunku. Patrząc na „Satyra“ można zatem zapytać: co jest silniejsze — koń, czy pięć trzytonówek?

Wygląda to trochę jak perz, trochę jak pszenica, a nie jest jednym ani drugim. Rolnicy z wielkim zainteresowaniem oglądają krzyżówkę pszeniczno-perzową nr 1, wyhodowaną przez prof. Cycyna i jego współpracowników. Wiosną można pole, zasiane tą krzyżówką, skosić na zieloną paszę, a jesienią — zebrać bogate plony ziarna: do 70 kwintali z hektara.

Przed jednym ze stoisk w dziale hodowli owiec można naprawdę „zbaranić“. Baran rasy kaukaskiej nr 171 przypomina wyglądem tura: waży 126 kilogramów i — co najważniejsze — daje rocznie 23,2 kilogramy wełny!

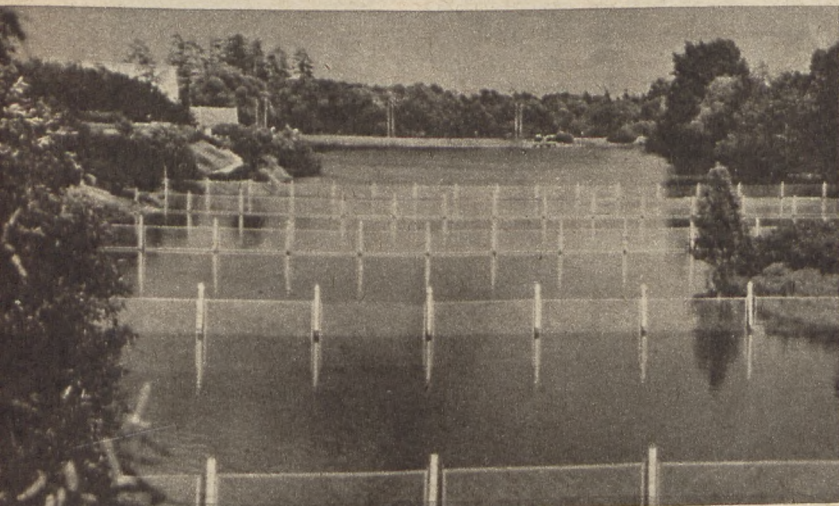
Sowchoz „Gigant“ (obwód rostowski) należy do najstarszych w ZSRR. Na wystawie można się dowiedzieć, że także do najbardziej zasłużonych. W ciągu 25 lat istnienia „Gigant“ dostarczył państwu 683.000.000 kilogramów zboża. Załadowane na wagony zboże to zajęłoby pociąg takiej długości, jak odległość od Warszawy do Krakowa.

W pawilonie mechanizacji można oglądać piętnaście różnych typów traktorów produkcji radzieckiej, od najlżejszych do najcięższych. Konieczność używania tak zróżnicowanych maszyn tłumaczy się w ZSRR zarówno wielką różnorodnością gleb, jak i coraz większym rozpowszechnieniem traktora, który pracuje nie tylko na polach, ale i w ogrodach warzywnych, sadach, winnicach, plantacjach bawełny itd. Ponad milion traktorów mają do dyspozycji kolchozy w ZSRR.

Uczestniczka wystawy, kolchoźnica Doliniuk z Ukrainy, jest niemal bez przerwy obłożona przez rzesze zwiedzających. Zadają oni jedno zasadnicze pytanie: w jaki sposób można osiągnąć wydajność 150 kwintali kukurydzy (ziarna) z jednego hektara? Tak, jak potrafiła Doliniuk...

Rasa krów kostromskich, wyhodowanych w ZSRR, reprezentowana jest m. in. przez oborę (200 krów) kolchozu „XII Październik“. Stado to legitymuje się rocznym udojem ponad miliona litrów mleka — przeciętnie 5.012 kilogramów mleka od jednej krowy. Kostromską rekordzistką jest „Komsa“ z sowchozu „Karawajewo“, która dała 13.572 kg mleka w ciągu roku.

Na wystawie reprezentowane jest rolnictwo i hodowla całego ogromnego Kraju Rad. Dlatego gdzieś tam można zobaczyć nieoczekiwane sąsiedztwa: polarne lisy i wielbłądy, kapustę wyhodowaną za kołem biegunowym i drzewka pomarańczowe, renifery i muły, owies i bambusy...



Na tym podzielonym na sektory stawie narazie jest jeszcze cicho, ale wkrótce ciszę tę przerwie wielogłose gęganie i kwakanie



Pawilon przedsiębiorstwa „Gławniaso“ (Centralny Zarząd Produkcji Mięsa i Przetworów Mięsnych) ozdobiony jest nad centralnym wejściem piękną i potężną rzeźbą, przedstawiającą rasowego byka



ŚMIERĆ BOHATERA

W 10 ROCZNICĘ
ZAMORDOWANIA
ERNSTA THAELMANNA

PRZED dziesięciu laty 18 sierpnia 1944 roku, kiedy wojska radzieckie zbliżały się do granicy Trzeciej Rzeszy, aby wyzwalać narody Europy z jarzma hitleryzmu wyzwolić również naród niemiecki z faszystowskiej niewoli, siepacze Himmlera zamordowali w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie przywódcę niemieckiego proletariatu, niezłomnego bojownika o prawa ludu niemieckiego, przewodniczącego KPD — Ernsta Thaelmanna.

Od chwili aresztowania go na specjalny rozkaz Hitlera i Goeringa, w lutym 1933 roku, kiedy to pod pretekstem podpalenia Reichstagu hitlerowcy postanowili krwawo rozprawić się z niemieckimi komunistami, Thaelmann przecierpiał 11 i pół roku w rozmaitych więzieniach, obozach i bunkrach, zanim w obliczu nadciągającej wyzwoleniczej radzieckiej armii dosięgła go śmierć z ręki SS-mana.

Po aresztowaniu Thaelmanna Goebels oświadczył 1 marca 1933 roku, że przywódca KPD zostanie wytoczony proces o zdradę stanu. Hitler postanowił z procesu tego urządzić propagandowe widowisko, ale do procesu nigdy nie doszło. Thaelmann więziony był bez aktu oskarżenia, bez wyroku sądowego. Nie znaczy to, że hitlerowcy nie pragnęli zrobić takiego procesu. Przeciwnie, ze wszystkich sił dążyli do tego, aby „zdykredytować” osobę Thaelmanna w oczach mas pracujących. Ale nawet tym zbirom zbrakło w ostatniej chwili odwagi — taka była popularność Thaelmanna wśród ludu pracującego.

O porażce Goeringa, który przygotowywał proces Thaelmanna, świadczy mało dzisiaj znany fakt, który rzuca ciekawe światło na kulisy hitlerowskich intryg. Hitlerowcy wyznaczyli Thaelmannowi obrońcę z urzędu, aby zachować pozory prawa i legalności. Wybór ich padł na „narodowo-socjalistycznie” zupełnie pewnego i godnego zaufania adwokata — dr Fryderyka Roettera. Goering wtajemniczył go w pewne zamierzone prowokacje przeciwko Thaelmannowi. Adwokat otrzymał akt oskarżenia i wolno mu było odwiedzać więźnia, przebywającego wówczas w Moabitce.

Pod wpływem rozmów z Thaelmannem i pod wrażeniem lotrostw gestapo prawnik ten postanowił nie brać udziału w zamordowaniu takiego człowieka, jakim był jego „urzędowy klient”. Był wprawdzie przeciwnikiem komunizmu, ale po prostu — człowiekiem. Nie chciał stać się pomocnikiem kata. Ku przerażeniu inscenizatorów procesu Thaelmanna dr Roetter uciekł ze wszystkimi aktami za granicę. Poświęcił wszystko co miał, aby pokazać światu prawdziwe oblicze narodowego socjalizmu. I świat dowiedział się prawdy o tzw. procesie Thaelmanna.

W Paryżu, na posiedzeniu francuskich prawników, zbiegły „obrońca” Thaelmanna stał się prawdziwym obrońcą wodza niemieckich robotników. W ten sposób scharakteryzował dr Roetter przed prasą światową postać Thaelmanna, dręczonego w hitlerowskiej katowni: „Thaelmann pozostał prostym, odważnym, świadomym swej siły robotnikiem, któremu poprawa losu jego towarzyszy pracy zawsze leży na sercu. Znosi swój ciężki los ze spokojem i godnością. Nie da się złamać. I mam wrażenie, że nawet jego polityczni przeciwnicy, gdyby potrafili zdobyć się na dostateczną odwagę, okazaliby swój szacunek wobec jego mężnej postawy i jego wierności dla swych zasad”.

Hitlerowcy byli zbyt wielkimi tchórzami, aby zdobyć się na uwolnienie Thaelmanna. Był on dla nich groźny w więzieniu, a coś dopiero na wolności. Ale byli dostatecznie wyrobionymi politykami, aby zrozumieć, że nie mogą zgładzić człowieka, któremu wierzyły miliony. I to nie tylko komunistów. 5 milionów głosów, jakie padły swego czasu na Thaelmanna podczas wyborów na prezydenta Rzeszy (1932 rok), 6 milionów głosów, jakie otrzymali komuniści w ostatnich wolnych wyborach do Reichstagu — były wymownym probierzem popularności Thaelmanna w Niemczech. Dlatego hitlerowcy wybrali inną drogę: postanowili trzymać Thaelmanna w odosobnieniu, jak długo będzie można. Dopiero kiedy Hitler zobaczył rozpadającą się „Tysiącletnią Rzeszę”, kiedy przekonał się, że nie ma już żadnych szans na zwycięstwo i że czeka go zagłada, wtedy dał Himmlerowi rozkaz zamordowania Thaelmanna.

1944 roku nie było żadnych nalotów na Buchenwald. Po wojnie znaleźli się świadkowie, którzy oświadczyli, że Thaelmanna umyślnie sprowadzono z więzienia w Budziszynie do obozu w Buchenwaldzie, aby tutaj zamordować go w tajemnicy i spalić w krematoryjnym piecu.

Tak zginął wielki syn narodu niemieckiego, Ernst Thaelmann, nauczyciel i żołnierz socjalizmu, bezkompromisowy bojownik o prawa ludu pracującego, wróg imperializmu i junkierstwa.

Człowiek, który na wieść o napadzie Hitlera na Polskę przesłał swojej bohaterkiej żonie, Rosie, następujące słowa:

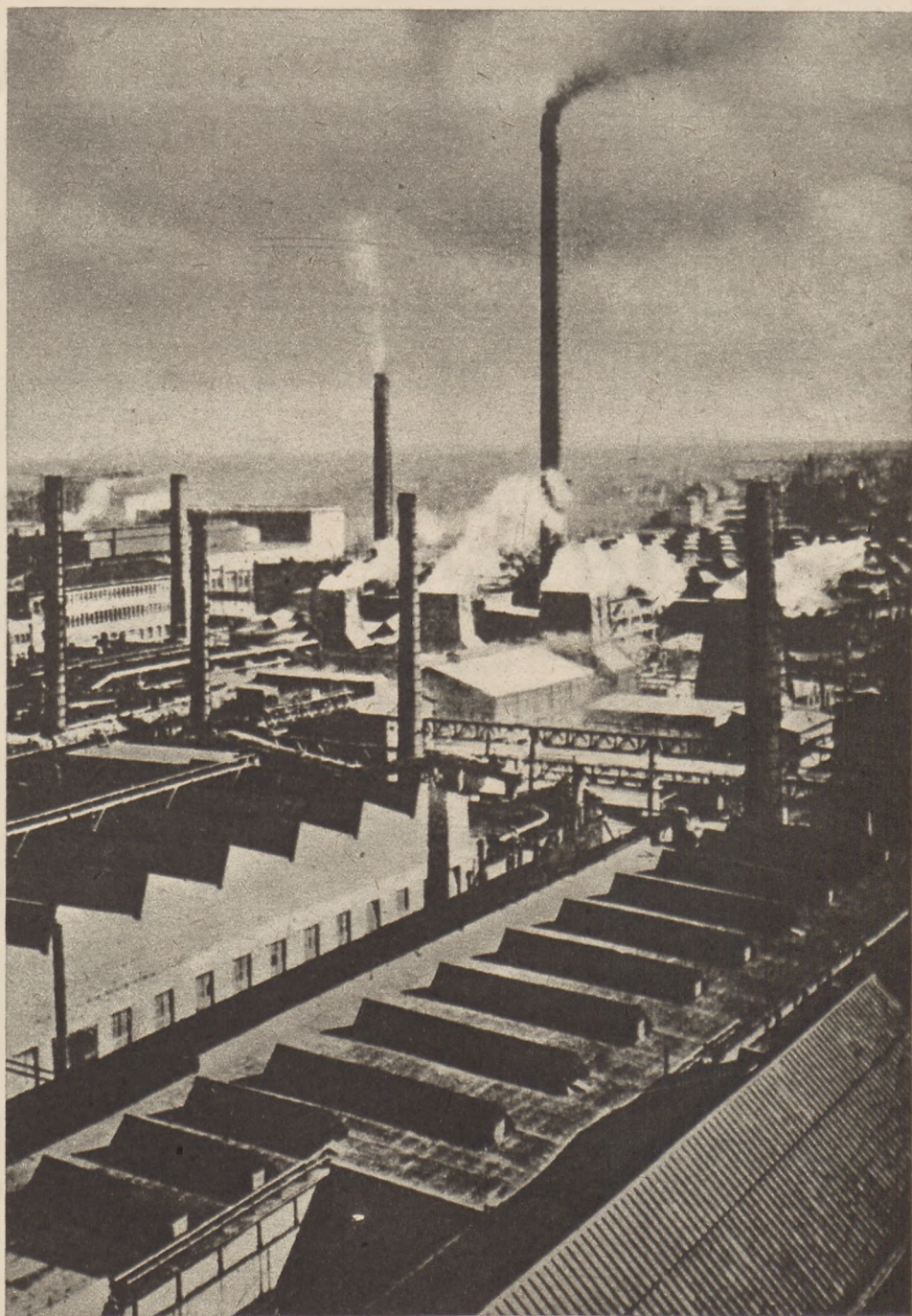
„Przyjdzie dzień, kiedy naród polski rzuci z siebie jarzmo faszystowskie. Wyzwoleniczy ruch narodowy odniesie zwycięstwo nad kałami faszystowskimi. Naród polski odzyska wolność, a polscy robotnicy i chłopcy zdobędą władzę w swoim kraju”.

Ziściły się słowa bohatera niemieckich mas pracujących.

Dzisiaj, w dziesiątą rocznicę jego tragicznej śmierci, jego wierni uczniowie w Niemieckiej Republice Demokratycznej realizują testament Ernsta Thaelmanna. Na granicy pokoju, nad Odrą i Nysą, niemieccy i polscy robotnicy podają sobie dłoń przyjaźni, walcząc wspólnie o pokojowe rozwiązanie przyszłości Europy. Aby po latach nienawiści i krzywdy społecznej nastął wiek przyjaźni i sprawiedliwości, o co walczył i za co zginął Thaelmann.

JERZY ZAREMBA

*) Zamieściliśmy w nr 21 z dnia 23 maja br. wypowiedź Rosy Thaelmann nadaną specjalnie dla „Świata” z okazji 10-lecia Polskiego Ludowej. W swoim oświadczeniu cytuje ona właśnie te słowa Thaelmanna.



NAJWIĘKSZA FABRYKA MASZYN W NRD IM. ERNSTA THAELMANNA

„CZEGO KRÓLOWA NIE WIDZIAŁA“ czyli KRÓLOWA WIKTORIA W IRLANDII



Nasz tygodnik przyniósł niedawno zdjęcia z tegorocznej wizyty królowej Elżbiety w Gibraltarze. Dziś przypomnimy o wizycie innej królowej angielskiej, podając za „Trybuna Ludów“ (redaktor naczelny: Adam Mickiewicz) z dnia 11 września 1849 roku opis wizyty królowej Wiktorii w Irlandii. Podobizna królowej Wiktorii, którą tu przedrukowujemy z innego źródła — opatrzona jest przez brytyjskiego wydawcę tytułem: „Nasza matka — uwielbiana przez świat panująca“. W dłuższym podpisie pod tą podobizną, znajdujemy m. in. westchnienie: „...oby żyła zawsze i panowała nad całym światem“. Pobożne to życzenie nie spełniło się — a jak wyglądało panowanie w Irlandii? Przeczytajcie sami!

JUŻ wiadomo, że nie same tylko chwalby i kadzidla towarzyszyły królowej po Irlandii. Jesteśmy szczęśliwi, iż znaleźli się ludzie z odrobiną godności i zdrowego rozsądku i pomimo władz i burmistrzów, którzy są zdania, iż obrazem nędzy Irlandczyków nie należało zasmucać królowej, to jednak księża katolicy wraz z mieszkańcami baronii Connelloe w hrabstwie Limerick zdolali jej wręczyć długi adres. W dalszym ciągu „Trybuna Ludów“ podaje z owego adresu obszernie fragmenty dotyczące rugów chłopów, którymi we wspomnianej okolicy objęto 15.000 chłopów. „Najjaśniejsza Pani! W jakiej części świata, pod pozorem ustaw i zwyczajowego prawa, na które się wciąż powołują, by wolno było dwom czy trzem satrapom pustoszyć wedle własnej zachcianki ziemię, burzyć pomieszkania 15.000 istot ludzkich, puszczać tę rzeszę na śmierć powolną z głodu, poniewierki i zarazy“.

„...W naszym nieszczęśliwym kraju w ciągu ostatnich dwóch lat więcej istot ludzkich przyprowadzono o śmierć, niżli za czasów barbarzyńskich, więcej osiedli ludzkich zrujnowano i ziemię wyludniono. Pani, chociaż Twe Królewskie Imię związała historia z kroniką zagłady naszego szczepu, wiemy, iż nie Ty jesteś powodem owych plag nie do wiary. To tylko w Twoim Imieniu panująca kasta feruje i egzekwuje niesprawiedliwe wyroki. Wiemy zatem komu przypisywać mamy wszystkie okrucieństwa: oligarchii, która wyrwała z Twojej ręki berło i zamieniła je w drąg żelazny, w narzędzie tortur...“

„...W Irlandii są miliony ludzi. Gdyby mieli oni nadzieję, iż modlitwy ich mogą być wysłuchane, padaliby na kolana co dnia błagając Najwyższego Prawodawcę, by wreszcie zwrócił na nich miłosierne wejrzenie i wybaczył im śmierć z rąk angielskiego rządu. Gdyby z ziemi wyjęto kości tych, którzy w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy wymarli w naszej ojczyźnie, kraju nędzy i zagłady, to ze szkieletów ułożonych można Panom Ministrom trotuar, któryby ciągnął się od Dublina do Corka“.

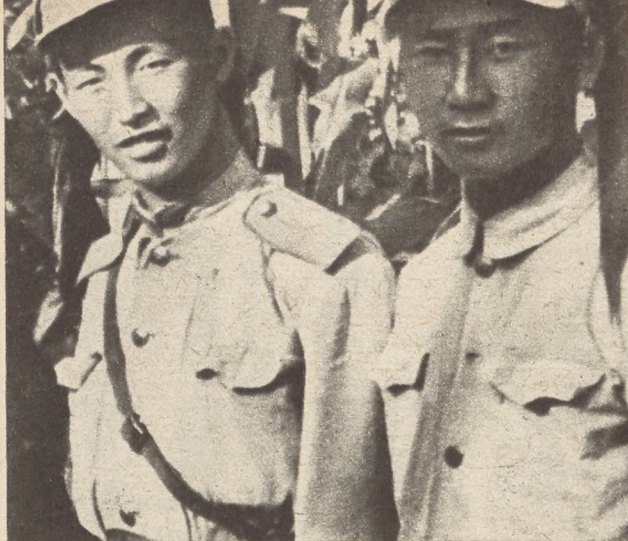
„...Oczywista sprawiedliwości domagamy się na próżno, bo przyznać jej nie masz władzy. Najjaśniejsza Pani. O, jakże byśmy chętnie obyli się bez Anglików, czy bez tych Irlandczyków, którzy każdego czasu służą pomocą w prześladowaniu, ucisk i eksterminacji, są piaszczem, który osłania zbrodnię...“

„...42.000 funtów szterlingów uchwalonych niedawno na zakup zabawek, które publika angielska ma oglądać w Brytyjskim Muzeum, uratowałyby życie 30.000 Irlandczyków. Wydatki Admiralicji z przyczyny wizyty Królewskiej u naszych brzegów uratowałyby życie 500 młodym matkom... Wyobraź sobie, Pani, swe własne dzieci w nędznej budzie, zimnej i wilgotnej, bez ognia, dzieci bez ubrania, bez koldry, zachowane przy życiu czterema uncjami maki kukurydziejowej. Wyobraź sobie swego Królewskiego Małżonka, podobnie odżywionego, idącego co dnia do pracy 6 mil bez butów i pół nago...“

„...Na północy Irlandii dochodzi co dzień do bardzo poważnych zająć między właścicielami ziemskimi a chłopami czynszownikami. Chłopi starają się unieść plony. Właściciele nie pozwalają, chcą odebrać czynsz i wzywają wojsko. Dochodzi do rozlewu krwi, bo nieszczęśliwi bronią zapamiętane ostatniego kawałka chleba, który jest im wydarty, porównują minione cztery lata i widzą, że tego roku ma być wygubiony cały szczep celtycki...“

Engels, który zjeździł Irlandię i, jak pisze, był i w Limerick, daje podobne obserwacje w liście do Marksa 23 maja 1856 roku: „Na całym zachodzie kraj jest pokryty rozwalonymi domkami chłopskimi, które zostały porzucone przeważnie dopiero po r. 1846. Nigdy bym nie wierzył, że klęska głodu może przybrać tak namacalnie realny charakter. Całe wsie opustoszały, a pośród nich wspaniałe parki... oto do czego doprowadziły: klęska głodu, emigracja i clearances“ (czyli rugowanie chłopów). Marks w liście do Meyera i Vogta stwierdził 9 kwietnia 1870 r., iż arystokracja i burżuazja angielska jest zainteresowana w przekształceniu Irlandii w kraj samych tylko pastwisk, które by dostarczały na rynek angielski mięsa i wełny po możliwie niskich cenach, oraz w zredukowaniu ludności irlandzkiej przez wywłaszczenie i przymusową emigrację do tak małej liczby, by kapitał angielski działać mógł bezpiecznie. Jak wiadomo, ludność Irlandii od 1846 r. do końca stulecia spadła z osmiu do czterech i pół miliona.

Opracował ADAM MAUERSBERGER



Któregoś dnia odwiedziłem chińskich ochotników. Słuchałem opowieści o ich czynach — czynach bohaterów



...Po krótkim wypoczynku mieli powrócić znów do walki i kontynuować swoją opowieść o ich czynach i krwi

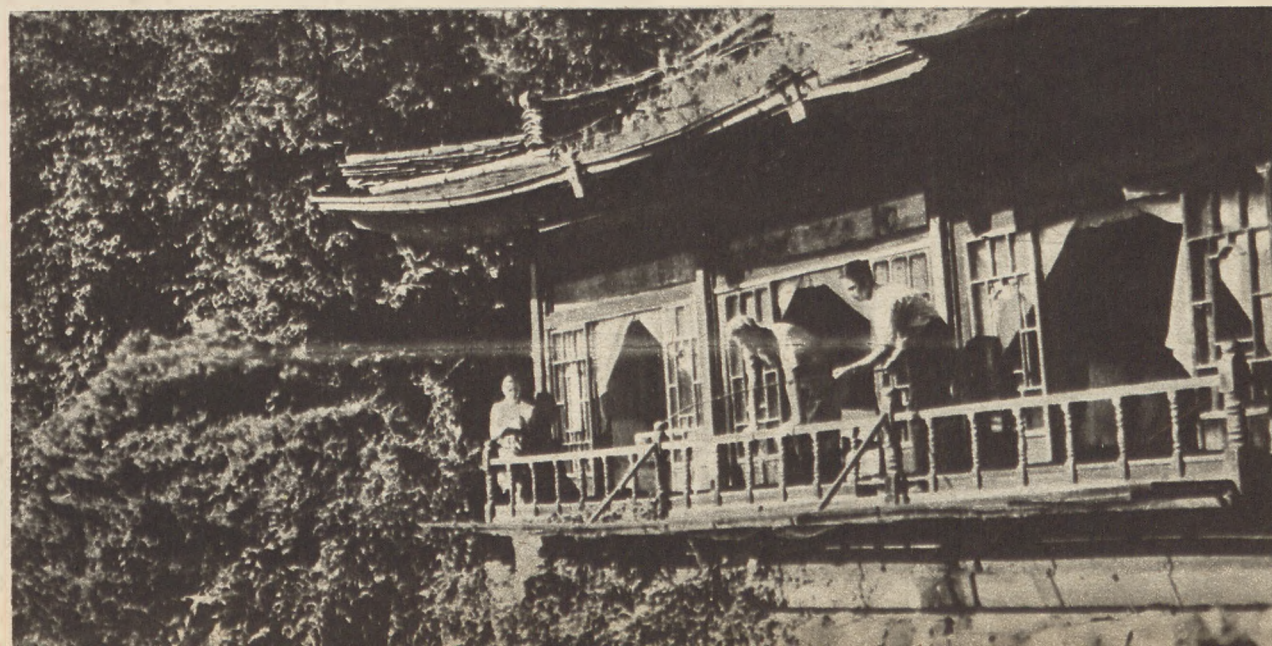


...Wędrowaliśmy od pozycji do pozycji. Przy drogach leżały szczątki rozbitych czołgów amerykańskich



Poza granicami strefy neutralnej szalało lotnictwo amerykańskie. W tym schronie spędzałem większość nocy...

Bombardowani bez przerwy — wracaliśmy do Phenianu: Naszą ambasadę powitałem jak rodzinny dom



JEDENAŚCIE MIESIĘCY W KOREI

(8)

Fotoreportaż własny „Świata“

TEKST I ZDJĘCIA: ANDRZEJ BRAUN

MINĄŁ lipiec, ostatni — a dla mnie najgorętszy miesiąc wojenny. Rokowania rozejmowe w Panmundżonie zbliżały się do pomyślnego końca. Jeśli nie było spotkania delegacji rozejmowych w Panmundżonie, dokonywałem dalszych i bliższych wypadów na linię frontu, do okolicznych wsi, do punktów na zapleczu. Któregoś dnia odwiedziłem trzech bohaterów Oddziałów Chińskich Ochotników Ludowych w ich macierzystej jednostce, kilkanaście kilometrów od Panmundżonu. Widziałem jak biegli do szturmów odpierając ataki wroga i w przerwach, gdy wracali zdyszani bojem, słuchałem opowieści o ich życiu, o czynach, o ich planach na przyszłość. Wspaniali to byli ludzie, ludowi bohaterzy nowego typu i porównując ich opowieści o minionych trzech latach koreańskich zmaganiach. Żołnierze wracali na pole walki, kontynuując dalszy ciąg opowieści o czynach i krwi. Kiedy indziej wyruszyłem z wojskowym zespołem pieśni i tańca którejś z dywizji chińskich na kilkudziesięciokilometrowy objazd wzdłuż linii frontu. Występy dawano bezpośrednio na miejscu walki. Pod ostrzałem artyleryjskim, maskując się i przemijając wędrowaliśmy od pozycji do pozycji, dostarczając rozrywkę i wytchnienia walczącym ochotnikom. Drobną splewaczki i tancerki chińskie występowały w zasypywanych ziemią okopach, w na półtora metra wysokich bunkrach i piwnicach, bez światła, bez świeżego powietrza, ryzykując życiem. Po występach praży odzież rannym, pomagali budować i ozdabiać podziemne świetlice i schrony. Widziałem front ludowy w natarciu, zwycięski, porwijący bezgranicznym poświęceniem i wiarą w słusność swej sprawy. Wracałem przez barbarzyńsko zniszczone tereny przyfrontowe. Oglądałem brzońskie miesiącami szczyty, które zostaną pomnikami w historii Korei. Jednocześnie wszędzie poza granicami strefy neutralnej szalało lotnictwo amerykańskie, jakby usiłując wykorzystać jak najaktywniej ostatnie dni wojny, dopełniając dzieła zniszczenia.

W ostatnich dniach przed rozejmem wracałem do Phenianu i do szpitala. Były to jedne z najniebezpieczniejszych nocy, jakie przeżyłem na Korei. Bombardowani bez przerwy, zapieni rozlanymi rzekami, mijaliśmy wsie i miasteczka płonące żółtym napalmem. Bohaterski Phenian i naszą ambasadę, wraz z jej schronem, witałem jak rodzinny dom.

60 *a może* 80 MILIONÓW LAT TEMU...

Napisała: HELENA ADAMCZEWSKA



Zdjęcia: JAN KOSIDOWSKI

AOTO i fosforyty. Podeszliśmy. Szybik jak szybik, nie ciekawego dla obeznanych z poszukiwaniami. Obok sterta desek i grubych bali przeznaczonych na obudowę. Malczyk pogrzebał trochę w kupie rozpaćkanego wapienia i teraz oto trzyma w ręku żółtobiałą grudę, w której jak rodzynki w placku tkwią zielonoszare kamyczki. Małe jak ziarenka grochu i duże jak włoskie orzechy. Ostrożnie wydłubujemy owoce wielomiesięcznych poszukiwań. Ostrożność okazuje się zbędna. „Kamyczki” są twarde i łatwo dają się oddzielić od wapienia.

— A teraz proszę potrząść o siebie dwie grudki... Łatwo rozcierający się na proszek, jak sucha bułka na tarce, fosforyt cuchnie starym, gnijącym stawem. Pochodzenie nie nastrocza wątpliwości. Trzymamy w ręku mieszkańca ziemi sprzed 60, a może 80 milionów lat, świadka legendarnego potopu.

Przeszliśmy już dziś kilkanaście kilometrów klucząc między kopami żyta i grzędami zarumienionej gryki. Siadamy na chwilę w cieniu, odpoczniemy.

Wiertacze wyłączyli na chwilę motor, czekają na dowożoną ze wsi wodę. Błoga, syta zapachem urodzaju cisza ogarnęła kotlinkę.

Przyjemnie tak siedzieć w cieniu i obserwować gospodarską krzątanicę wiertaczy, tej gwardii przybocznej geologów. Mogliby się odpocząć — a przecież podeszli do skrzynek z próbami złoża. Oglądają, układają jak klejnoty, przesypują w dłoniach drobne grudki...

— Miliardy otwornic, małży i ryb sprzed milionów lat....

— Dwieście lat nauki: literatury, map, wykresów...

— Wiele miesięcy poszukiwań, badań, rozważań...

— Kilka tygodni uporczywych wierceń w twardej, krzemiennej opoce...

...złożyły się na to, by zapakowany w skrzynki, niepozorny na oko fosforyt mógł pojechać do Lubonia, do Wizowa — do kombinatów chemicznych, które z prostego związku P_2O_5 wyczarują pożywkę dla ziemi: nawozy sztuczne.

Miliardy otwornic, małży i ryb sprzed milionów lat...

Wyobraźmy sobie więc. Tu, gdzie siedzimy, na skraju lasu, ileś milionów lat temu szumiało morze. A właściwie kilka kapryśnych mórz, cofających się, łączą-

cych z sobą w olbrzymie zbiorniki. Zwierzęta żyjące w nich ginęły masowo pod wpływem gorących i zimnych, słonych i słodkich prądów. Po milionach lat zbiorowe cmentarzyska mieszkańców dawnych mórz przysypywały szczątki nowych zwierząt, roślinności, wietrzejących skał. Tworzyły się warstwy, które pokrył później lodowiec przyniesioną z północy gliną, piaskiem...

Miliony lat trwało kształtowanie się naszej ziemi, nim przybyliśmy na Lubelszczyznę, by wydobywać z jej wnętrza cenny minerał.

Dwieście lat nauki: literatury, map, wykresów...

Mgr Maria Lazarek, pracownik warszawskiego Instytutu Geologicznego, przed wyruszeniem na poszukiwania fosforytów przewertowała wiele książek, map, szkiców. Materiał do studiów naukowych dla młodej poszukiwaczki przygotowali jednak inni. Jej poprzednicy już od roku 1795 głowili się nad kolorem skały, piasku, roślinności nawet, układem warstw, słowem — odnajdywali epokę, formację, erę, w której występuje fosforyt.

Nad zawartością i pochodzeniem wnętrza ziemi biedzono się co prawda trochę wcześniej niż od r. 1795. Teorię „morskiego” pochodzenia niektórych skał wysnuwał już znany historyk grecki, Herodot, a żył on w trzecim wieku przed naszą erą. W średniowieczu teorię Herodota tłumaczono 40-dniowym deszczem, biblijnym potopem; nagięto ją po prostu do potrzeb religii. Dopiero w XVIII wieku odkrycia różnych skamieniałości w różnych warstwach skalnych utwierdziły teorię powstawania osadów organicznych na dnie pradawnych mórz.

Dysponując całym dotychczasowym dorobkiem naukowym mgr Maria Lazarek znalazła się w roli historyka, który odnalazł luźne kartki kroniki z zapisanymi fragmentami wydarzeń, ale na kartkach tych brak daty. W żadnym bowiem dokumencie nauki o ziemi nie powiedziane jest, czy złoża fosforytów znajduje się z południowej czy wschodniej strony skraju lasu.

Wiele miesięcy poszukiwań, badań, rozważań...

W jednej z wypraw — geolog Maria Lazarek brała w niej udział — napotkano wiercenie zwykłej, wiejskiej studni. W piaskach wydobytych na powierzchnię znaleziono grudki fosforytów. Uradowani geolodzy rozpoczęli w sąsiedztwie wiercenia poszukiwawcze dla zbadania grubości i rozległości warstwy. Przeszukano dalszą, potem bliższą okolicę. Wiercono w coraz mniejszych odległościach, w zasięgu zagrody, w której budowano studnię, tuż obok... I bez rezultatu. Kiedy wreszcie niecierpliwieni poszukiwacze weszli do samej studni, znaleźli — no, może ze trzy kilogramy fosforytu, nie więcej, i nigdzie poza studnią.

Tego rodzaju figle, nastroczające dawniej wątek do ludowej klechdy, legendy o skarbach wyprowadzanych przez duchy kpiące z wysiłków człowieka — płata ziemia na szczęście rzadko. Najczęściej bywa tak:

...Ścieżki, którymi przybyliśmy na skraj lasu, przemierzyło już wielokrotnie kilku ludzi: geologów, techników-geologów. Przewędrowali wszystkie drogi i między całej okolicy. Zbadali każdy szczegół krajobrazu. Zawodowa ciekawość zaprowadziła ich do każdej szczeliny, niezasypanego dołu po wojennym bunkrze, do każdej nowowykopanej studni. Zebrali próby z odsłoniętych warstw zboczy wzgórz i skalnych uskokiów. Wypytyli ludzi o takie subtelności, na które zwykły śmieciarz nie zwraca uwagi, np. kolor nacieków na wapieniach wydobywanych przy kopaniu studni. Wybrali wreszcie na przeprowadzenie próbnych wierceń pocięte jarami pole i skraj lasu. Wkrótce w tym miejscu metalowa korona wiertła zaczęła drążyć twarde, krzemienne opoce...

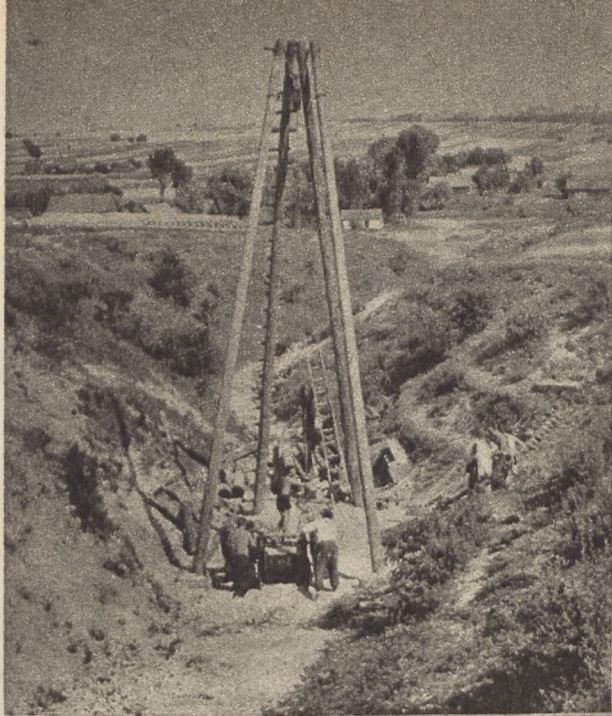
Kilka tygodni uporczywych wierceń...

— Na nocleg zaprowadzę was do tej chałupy, w której kiedyś się zatrzymałem — pierwszy przerwał chwilowe milczenie inż. Dziubek. — Poznać wiedzę, prawdziwą, taką, jaką spotyka się w starych bajkach dla dzieci. Codziennie przed świtem budziła mnie wściekłym trzaskiem fajerek.

Domyślaliśmy się, że owa historyjka była tylko pretekstem do rozmowy o sprawach, które nurtowały inżyniera-górnika. I rzeczywiście.

Studentka Akademii Górniczo-hutniczej w Krakowie, Izabela Gościńska, w czasie praktyki wakacyjnej również szukała fosforytów. Trzeba przyznać, że jest doskonałym piechurkiem i wytrwałym poszukiwaczem...





Wiele miesięcy poszukiwań, badań poprzedza ustawienie wiertniczej wieżyczki, czy też budowę szybików



Tak oto wygląda pobieranie próby złoże z niewielkich głębokości. Technik - geolog Wiesław Małczyk (na zdjęciu pierwszy od lewej) ma dopiero 18 lat, a już drugi rok kieruje pracą starych wygów — wiertaczy

— Chodźcie naszym szlakiem — zaczął opowiadać geolog — poznajcie naszą pracę, poznajcie i trudności...

Nie wszędzie wiercenia można prowadzić mechanicznie. Kiedy obliczenia wskazują na obfitsze złoże, buduje się szybiki, aby pobrana próba dała pełniejszy obraz warstwy. Szybiki, tak zresztą jak i wiercenia, mogą trafić na wodę, dokopać się można do podziemnego koryta rzeki. Zdawać by się mogło, że wody nie pokonasz, rzeki nie przepompujesz, a przecież i na to geolog znalazł radę. Stał się wynalazcą. Niedawno opracowany przez geologów system (tzw. dużej dymenzji) zastosowany na zagrożonych wodą odcinkach nie naraża życia i zdrowia wiertaczy, a gwarantuje prawidłowe pobranie złoże.

Nie o trudności zawodowe chodziło jednak inżynierowi. Niebawem wrócił przecież do poprzedniej historii.

Geolog w czasie swej wędrówki napotyka czasem chałupy zamieszkałe przez „wiedźmy“, ludzi nieżyczliwych, niegościnnych — ludzi nie rozumiejących zadań poszukiwaczy, ich pracy, nie widzących dalej swego nosa, swego poletka.

Nim zaturkotał motor wiertła w jednym ze stanowisk, gromadka kobiet zagroziła kłonicami ekipie poszukiwaczy, jeśli odważy się postawić wiertnicze wieżyczki na ich pólku... Ciężka i trudna praca czekała wówczas geologa. Z poszukiwacza w jednej chwili musiał przeistoczyć się w nauczyciela, w agitatora, by przewyciężyć niechęć nie tylko do swojej pracy, ale i swojej osoby — uzyskać nocleg, żywność...

Zdarzają się jeszcze inne straszdyła na drodze geologa, opóźniające jego wędrówkę.

W pobliżu miejsca, na którym zdecydowaliśmy się na odpoczynek, pracuje na zlecenie Instytutu Geologii ekipa Przedsiębiorstwa Robót Geologicznych z Warszawy. Od pół roku sześciu ludzi drąży ręcznie twarde krzemień. Wiercenie postępuje zaledwie 8—12 cm dziennie, choć w tych warunkach geologicznych można było za-

stosować wiercenie mechaniczne, skrócić czas trwania robót.

Przedsiębiorstwo Robót Geologicznych widocznie zapomniało o swych pracownikach: nie rozlicza delegacji służbowych, nie przysyła pieniędzy, butów, ubrań ochronnych, a nawet odpowiednich narzędzi pracy.

Starczy, doświadczeni wiertacze za cudze grzechy wloką się w ogień kilkunastu stanowisk wiertniczych, opóźniają wynik poszukiwań.

Historię można zawrzeć w skrzynkach.

A oto i fosforyty.

Zielonoszara grudka, odnaleziona przez technika-geologa Wiesława Małczyka w ostatnim urobku wydobytym z szybiku, zakończyła wędrówkę geologa. Na rozpoznany teren wkracza eksploatacja.

Pobrane próby złoże jadą do laboratoriów chemicznych. Kilka zaś niewielkich wąskich skrzyneczek wędruje do Instytutu Geologii. Po zaopatrzeniu w metryczki powiększą one jedyne w swoim rodzaju archiwum. Na wysokich regałach spoczywają tu próby pobrane w różnych rejonach kraju, na różnych głębokościach, z różnych epok, formacji, er...

Historia wielu milionów lat naszej ziemi zawarta została w małych skrzyneczkach.

I post scriptum.

Fosforyty odkryto w Polsce przypadkowo, w czasie poszukiwań piaskowca na Lubelszczyźnie około roku 1923; próby eksploatacji rozpoczęto dopiero po dziesięciu latach. Fosforyty polskie, uboższe od afrykańskich czy boliwijskich, wymagały wzbogacenia, chemicznej przeróbki, a więc dużych nakładów, które w kraju przeznaczonym na rolnicze zaplecze przemysłowego Zachodu nie opłacały się.

Dziś — odkrywamy i eksploatujemy te „ubogie“ skarby naszej ziemi coraz śmielej.

Wiertnictwo wciąga jak nałóg — twierdzi Paweł Grzelak, który jeszcze rok temu był farbiarzem w Kaliszu



GŁOSY O POLSCE

Prawdopodobnie żaden z krajów demokracji ludowej nie poniósł tylu ofiar na skutek najazdu faszystowskiego, co Polska. Widziałem zniszczoną Warszawę, widziałem obóz w Oświęcimiu i mogłem zdać sobie sprawę z cierpień, zadanych narodowi polskiemu przez hitlerowskie hordy.

Widziałem również niezwykle wysiłek narodu polskiego, odbudowującego zniszczony kraj, widziałem wyrastające z ruin miasta, piękniejsze niż kiedykolwiek.

Odbudowa stolicy kraju, Warszawy jest wzruszającym świadectwem tego wysiłku.

Polska Zjednoczona Partia Robotnicza i Rząd Polski darzą głębokim zaufaniem naukowców i popierają ich badania. Powstały nowe instytuty naukowe. Zwiększono niektóre z nich. Są one wyposażone w najbardziej nowoczesne urządzenia, ułatwiające dociekania naukowe. Polska Akademia Nauk, która powstała

w roku 1952, kieruje i koordynuje pracę naukowo-badawczą w całym kraju. Skupia ona całą planowaną działalność naukową we wszystkich dziedzinach wiedzy.

Wielu naukowców polskich zginęło w obozach i więzieniach za czasów okupacji. W czasie wojny uległy zniszczeniu gmachy szkół wyższych, instytuty i laboratoria, zostało spalonych wiele bibliotek i zbiorów.

Ale już w pierwszych dniach po wyzwoleniu naukowcy polscy, pracujący w ciężkich warunkach, przystąpili do uruchamiania szkół wyższych i laboratoriów.

Byłem obecny na zjeździe neurologów i neurochirurgów w Warszawie i widziałem, z jaką sympatią i podziwem witali naukowcy polscy przedstawiciele nauki radzieckiej, którzy uczestniczyli w pracach zjazdu. Tak poważny i szybki rozwój Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej we wszystkich dziedzinach życia był mo-

żliwy dzięki braterskiej współpracy między narodami radzieckimi i narodem polskim.

Naukowcy polscy patrzą z dumą na osiągnięcia swego kraju w ciągu dziesięciolecia, które upłynęło od jego wyzwolenia. Tych 10 lat stanowi całą epokę, w której z ruin powstało kwitnące państwo.

Naród nasz całym sercem uczestniczy w wielkim święcie bratniego narodu polskiego i życzy mu z całej duszy coraz większych sukcesów w walce o pokój, o socjalizm, o coraz większy dobrobyt, o szczęście.

[Signature]



A. Kreindler

Prof. dr A. Kreindler jest jednym z czołowych naukowców rumuńskich w dziedzinie medycyny. Pełni on funkcję dyrektora Instytutu Neurologicznego im. J. P. Pawłowa w Bukareszcie oraz jest członkiem Akademii Nauk Rumuńskiej Republiki Ludowej.



Wakacje w Polsce! Te cztery dziewczęta — córki polskich wychodźców we Francji — po raz trzeci spędzają lato w kraju. Pogoda w tym roku może trochę nie dopisala, ale były przecież dni, kiedy z przyjemnością skakało się do morza

W zeszłym roku nie było jeszcze wielu budowli Traktu Starej Warszawy. Dziś Barbakan, zabytkowe kamieniczki na Freta — wszystko prawie gotowe. Zmienia się Polska z każdym dniem, rozwija się i staje się coraz piękniejsza



Ileż tu pięknych domów! Józefa Piecha, córka górnika z Belgii, oczu nie mogła oderwać od kamienicy Fukiera

Wakacje

w **KR**

Zdjęcia: JAN

JAK CIĘŻKO jest ludziom przyznać się do własnych błędów! Jak trudno wydobyć się z sieci kłamstwa!

Zastanawiamy się nad tym problemem w przerwie pomiędzy jednym meczem siatkówki a drugim. Moje rozmówczynie, młode Polki z Francji, znają już życie z tej strony — chociaż każda z nich liczy sobie co najwyżej 15 lat — i wzdychają ze smutkiem nad ludzkimi dziwactwami.

Irena Kaczmarek (mieszka stale w Creusot, jej ojciec jest dozorcą w jednej z tamtejszych fabryk metalurgicznych) wyjaśnia tę sprawę szerzej. Kiedy trzy lata temu wyjeżdżała po raz pierwszy na wakacje do Polski, naschodziło się do domu różnych znajomych i jeden przez drugiego ją ostrzegać rodziców, żeby córki do kraju nie puszczali. Bo: po pierwsze — lada dzień ma tam wybuchnąć rewolucja, po drugie — lada dzień wybuchnie wojna i powrót będzie odcięty, po trzecie — w Polsce jest głód i dziecko nie będzie dostawać jedzenia, po czwarte — będzie może dostawać jedzenie, ale w więzieniu, gdyż wszystkie przyjeżdżające z Francji dzieci natychmiast wtrąca się do lochu, po piąte... i tak dalej i tak dalej.

Stary Kaczmarek sąsiadów wysłuchał, a córkę do Polski wysłał. Nie zdziwił się wcale, gdy wróciła zdrowa i cała, opalona i promieniejąca radością; zdziwił się tylko temu, co opowiadała o budującej się Warszawie, o nowych fabrykach, stadionach sportowych, o Pałacu



I oto wreszcie Warszawa, Rynek Staromiejski... Tyle się o tym słyszało i czytało we Francji i w Belgii — teraz można obejrzeć na własne oczy... A później przyjdzie kolej na Pałac Kultury i Nauki, Lublin, Kraków, na Nową Hutę...



Poranny apel w sopockim ośrodku Polonii Francuskiej. Koleżanka z Polski wciąga banderę na maszt.

racje

AJU

KOSIDOWSKI

Młodzieży w Stalinogrodzie. On takiej Polski nie znał, za jego czasów inaczej to wyglądało.

Następnego lata znowu przyszło z kraju zaproszenie dla Ireny, znowu przyszli znajomi (może już nawet inni), znowu „ostrzegali“. Że: po pierwsze — lada dzień wybuchnie rewolucja... i tak dalej. Kaczmarek nie milczał już, jak w ubiegłym roku, ale coś niecoś powtórzył z tego, co usłyszał od Ireny. Pokazał kilka fotografii z Polski, jakieś pamiątki. Wyszli wyrzucając mu, że nie docenia prawdziwej życzliwości. Po wakacjach powróciła Irena. Opowiadała o warszawskim Starym Mieście, o Nowej Hucie, o zesłorocznej i nowej przyjaźni z krajem.

I nadszedł wreszcie rok 1954, Irena pojechała do Polski po raz trzeci. Jej wyjazd jak zwykle poprzedziła masowa wizyta „życzliwych znajomych“. Ale tym razem stary Kaczmarek nie chciał już z nimi rozmawiać. Cóż ma do powiedzenia? Zniecierpliwiony machnął tylko pustym rękawem i wyszedł z pokoju. Oto niedawno utracił rękę, wypadek przy pracy w koncernie zbrojeniowym Creusot. O czym będą mówić? O wojnie? Kto się do tej wojny sposobi? Warszawa, gdzie robotnicy wykuwają w ścianach misterne rzeźby? Tylko, żeby ci już zmądrzeli... Na przyznanie się do własnych błędów zawsze jest czas...

— Czas, żeby zmądrzeli — mówimy wszyscy zgodnie. Wstajemy, bo niebawem rozpocznie się mecz siatkówki. Skąpany w słońcu stadion sopocki zaprasza do gry.

M. A.

Jeszcze jedno spojrzenie na kolumnę Zygmunta. Będzie o czym opowiadać po powrocie. Wakacje w kraju dostarczają niezapomnianych przeżyć dzieciom emigrantów, którzy musieli stąd kiedyś wyjeżdżać w poszukiwaniu chleba





GRAŻYNA WOYSZNIS - TERLIKOWSKA

ZAKOPANE WOŁA SOS

ZAKOPANE — to „wczasowa stolica“ Polski. Taka miejscowość powinna być również ośrodkiem życia kulturalnego. Tutaj właśnie ludzie mają wiele czasu, który — poza wycieczkami — poświęcić mogą chłonięciu kultury. Fakt, że przez zakopiańskie domy wczasowe przewijają się co roku setki tysięcy ludzi pracy, spędzających tu dobrze zasłużony odpoczynek — obowiązuje.

W każdej prawie miejscowości jest coś, co ją od innych wyodrębnia, co nadaje jej specyficzny, niepowtarzalny charakter. Zakopane — jest „wczasową stolicą“ Polski i to jest właśnie specyfika Zakopanego, które winno być specjalną otoczone opieką. Bo wczas — to nie tylko wędrowki po przepięknych tatrzańskich szlakach, ale i — wspaniała okazja dla podnoszenia poziomu kulturalnego urlopowiczów.

Tło wspaniałej górskiej przyrody sprzyja rozbudzeniu poczucia estetyki i piękna. W takim mieście jak Zakopane więcej może niż gdzie indziej chciałoby się posłuchać dobrej muzyki, zobaczyć dobry film lub spektakl, zapoznać się z bogatym folklorem górskim, obejrzeć wystawę rzeźb lub obrazów. A tymczasem...

UPIÓR ZAKOPANEGO

...Istnieją opowieści i legendy o starych, pechowych rodach, w których kolejni spadkobiercy, poza wielkim majątkiem, tradycją i pięknie brzmiącym nazwiskiem, dziedziczyli również jakiś niefortunny, a od dziedzictwa nieodłączny dodatek w rodzaju np. upiора, straszącego po nocach w rodowym zamczysku.

Kolejni ojcowie miasta Zakopanego znajdują się w podobnej sytuacji: obok wszystkich zaszczytów związanych z pełnionymi przez siebie funkcjami, obok najpiękniejszych tradycji Zakopanego, dziedziczą również i piekielnego upiора chaosu w gospodarce kulturalnej. Ten upiór straszy niezmordowanie dniami i nocami — od długiego szeregu „pokoleń“ gospodarzy miasta.

W życiu Zakopanego odczuwa się wyraźnie brak jakiegokolwiek jasno wytyczonej i konsekwentnie realizowanej linii polityki kulturalnej. Panuje tu wielki bałagan, na który składają się poszczególne imprezy (lub ich nieudolne namalastki), poszczególne akcje, nieskoordynowane działania różnych instytucji, placówek, ekip, zespołów i miejscowych, i przyjezdnych.

Na skutek tego chaosu wśród miejscowych działaczy kulturalnych panuje bardzo niedobra i niezdrowa atmosfera. tworzą się kliski i klęczki, koteryje i koteryjki, a wszystkie skłócone ze sobą nawzajem, poobrażane, nadęte. Ta atmosfera oczywiście wpływa z kolei na obniżenie wydajności i poziomu pracy artystycznej i kulturalnej. I tak w kółko, w kółeczko kręci się ta zakopiańska kultura w magicznym, zaczarowanym kręgu. Cóż za chochoły tu grają, u licha?

A przecież na terenie Zakopanego istnieje szereg placówek kulturalnych i artystycznych. Niektóre z nich pracują bardzo dobrze i ze świetnymi rezultatami. Działalność ich jednak zupełnie nie jest skoordynowana, wszystko odbywa się na zasadzie „czyń każdy w swoim kółku...“ Tylko że „całość“ ani rusz nie chce się złożyć...

WYJĄTKOWA JEDNOMYŚLNOŚĆ

Wśród wszystkich, najbardziej nawet ze sobą skłóconych ludzi i instytucji pod jednym tylko względem panuje całkowita jednomyślność: „Żle ze sprawami kultury w Zakopanem“. Dalej następują już oczywiście różnice zdań: „To nie ja jestem winien, tylko X albo Y“. Najczęściej zresztą obwiniana jest przez miejscowe społeczeństwo Miejska Rada Narodowa; MRN znowu obwinia innych.

Nie jest to jednak taka sytuacja, w której „sprawcy nie znaleziono“, a zatem nikt nie ponosi odpowiedzialności. Odpowiedzialność za ten stan rzeczy ponoszą — w różnych stopniach — wszyscy prawie ludzie, zajmujący się sprawami kultury i sztuki w Zakopanem. Ale w największym stopniu — mimo wszelkich wyjaśnień o braku czasu i przepracowaniu — ponosi odpowiedzialność Prezydium MRN.

Jeśli bowiem w jakimś domu panuje nieporządek, to pretensje mamy przede wszystkim do gospodarzy, a potem dopiero do ich dzieci, choćby były niesforne i niezdolne. Nie

pomogą tłumaczenia rodziców, że dzieci są winne. To czemu ich nie wychowujecie? Czemu nie zwracacie się o pomoc do pedagogów, a nawet do poradni dla dzieci trudnych?

Ojcowie miasta Zakopanego! Pod waszymi oknami, na Krupówkach, latem i zimą, wiosną i jesienią, odbywa się nieustająca defilada. Pod waszymi oknami przechodzą tysiące budowniczych Nowej Warszawy i Nowej Huty, chłopów ze spółdzielni produkcyjnych i PGR-ów, hutników, górników, profesorów i uczniów, robotników i pracowników umysłowych.

Co Zakopane daje tym ludziom, jeśli chodzi o ich kulturalne wychowanie, do którego tutaj więcej niż gdzie indziej mają warunków i okazji?

RÓŻNE MIERNIKI

Jasne jest, że miarą wartości każdej pracy są jej konkretne rezultaty. Dla ich przeanalizowania jednak różne można przykładać miary do działalności człowieka lub instytucji. Można mierzyć stopniem zainteresowania danym zagadnieniem, ilością wysiłków, ilością wydawanych na dany cel pieniędzy, nawet — jak się przekonamy — ilością metrów... Żadna z tych miar, stosowana w oderwaniu od innych, nie da oczywiście pełnego obrazu.

Spróbujmy więc kolejno brać w rękę różne klucze i otwierać nimi różne drzwi. Zaraz... uwaga! Oto...

...Oto na drzwiach Oddziału Kultury przy Prezydium MRN wisiała kartka: „Jestem w Wydziale Oświaty“. Poszłam więc tam, zapytałam o kierownika Oddziału Kultury. — Tutaj nie ma! — odpowiedzieli zwięźle urzędnicy. — A ta kartka na drzwiach? Zdziwiły się. — Jeszcze wisi? Przecież kierowniczka wyjechała na dwa dni w teren. — A kto ją zastępuje? — Jak to kto? Nikt! — odrzekli urzędnicy.

W taki to sposób dowiedziałam się, że zakopiański Oddział Kultury jest jednoosobowy i „składa się“ tylko z kierownika. Wystarczy więc, aby — jak w tym wypadku — kierownik musiał wyjechać albo np. dostał grypy, aby zakopiańska kultura była zamknięta na klucz. Czy słuszny jest ten jednoosobowy skład Oddziału — poddaję pod rozważę ojców miasta Zakopanego.

Bądźmy jednak sprawiedliwi! To już i tak duży postęp w stosunku do szeregu poprzednich miesięcy, kiedy Oddział Kultury w ogóle nie istniał, bo nawet ten jeden etat nie był obsadzony. Podobno w całym Zakopanem nie było odpowiedniego człowieka. Czy rzeczywiście nie było, czy też MRN nie szukała go tam, gdzie by można było znaleźć?

KULTURA PRZELICZONA NA ZŁOTÓWKI

Wiadomo, że na prowadzenie każdej prawie akcji czy roboty potrzebne są pieniądze. Dotyczy to również i prac kulturalnych. Jakże od tej strony wygląda działalność MRN w Zakopanem?

Według informacji Prezydium MRN, w budżecie na rok 1954 przewidziano 360.000 złotych (słownie: trzysta sześćdziesiąt tysięcy) na orkiestrę dętą (z taksy klimatycznej) oraz 20.000 złotych (słownie: dwadzieścia tysięcy) na „resztę kultury“. Na tym koniec. Kropka.

Wprawdzie daleka jestem od chęci obniżania wartości orkiestry dętej w Zakopanem (nawiasem mówiąc, zakupione w 1949 roku za olbrzymią sumę instrumenty leżały bezczynnie w magazynach aż do roku 1951, czyli do momentu powstania orkiestry) — ale ta dysproporcja podziału sum wydaje się już zbyt rażąca. Na każde 19 złotych, przeznaczonych na cele kulturalne dawać 18 orkiestrze, a 1 tylko złotówkę na „wszystko inne“ — darujcie, ale to nie jest dobra gospodarka!

I nie o to chodzi, żeby orkiestra dostawała mniej, tylko żeby ta „reszta kultury“ nie musiała gonić jakimiś resztkami.

Na szereg moich pytań, w rodzaju: czy MRN ma może jakieś stypendia dla — chociażby któregoś z bardziej utalentowanych uczniów Liceum Technik Plastycznych, albo, czy zakupuje obrazy artystów zakopiańskich itd. — otrzymałam odpowiedź: nie mamy na to odpowiednich sum.

Dlaczego więc MRN nie planuje odpowiednich sum? Dlaczego się o nie nie bije, nie walczy, nie upomina?

Kiedy w Prezydium MRN wyliczono mi różne placówki kulturalne Zakopanego, na jednym z pierwszych miejsc wymieniono amatorski Zespół Teatralny im. Stanisława Moniuszki, dodając, że zespół ów daje występy w sali teatralnej „Morskie Oko“, którą zarządza MRN. W opowiadaniu o swym zespole wyraźnie przebiegała nuta dumy, że oto mamy w Zakopanem własny teatr, wprawdzie amatorski, ale na poziomie takim, że i niejeden teatr zawodowy by się nie powstydził.

Rozmówca mój zapomniał tylko dodać, że ów naprawdę dobry i zupełnie bezinteresownie pracujący zespół, za każdą próbę na sali „Morskiego Oka“ płaci po 30 złotych, a za każdy spektakl — 300 złotych!

Sytuacja jest więc zupełnie paradoksalna: zamiast otrzymywać dotację z MRN — amatorski zespół jeszcze zasila jego kasę!

Nic więc dziwnego, że zespół z żalem wspomina czasy, kiedy „Morskie Oko“ było zarządzane przez PTTK. I próby odbywały się wtedy za darmo, i na występy sala kosztowała o wiele mniej...

Prezydium MRN szczeni się — i słusznie — teatrem im. Moniuszki. Ale jedyną dotacją, jaką teatr otrzymał w ciągu czterech lat swego istnienia (w 1953 r.), była suma 40.000 złotych na dekoracje, stroje i rekwizyty. Nie można powiedzieć, żeby to było dużo, zwłaszcza że w tym czteroletnim okresie teatr dał ogółem 127 występów, wystawiając szereg dobrych sztuk polskich i radzieckich, współczesnych i kostiumowych.

Zakopiańscy plastycy skarżą się, że MRN przypomina sobie o ich istnieniu tylko wtedy, kiedy chodzi o zrobienie jakiejś roboty za darmo, MRN zaś skarży się, że plastycy to „rozróżbkarze“, że nie wykazują poza tym społecznego podejścia, żądając zapłaty za wszystkie swoje prace.

Prawda leży oczywiście w środku: pewnie, że należy protestować przeciw wyłącznie merkantylnemu podejściu twórców do spraw sztuki, z drugiej strony jednak „podejście społeczne“ wcale nie oznacza, że każdy artysta musi robić bez honorarium wszystko i zawsze, ilekroć MRN tego żąda. Nie chodzi tu przecież o „opłacanie“ artystów, ale o to, że sztuka nie jest przecież zawieszona w powietrzu, że musi mieć odpowiednie warunki i możliwości rozwoju, a między innymi — i podstawy materialne.

Ale nawet jeśli już jest coś zrobione „za darmo“, to MRN też z tego nie korzysta. Np. w tej chwili są trzy, bez żadnego honorarium wykonane, projekty rzeźb dla Zakopanego. Jedna — prof. Kenara, druga — prof. Fajkosza, trzecia — prof. Szczerby.

Ponieważ trudno żądać od rzeźbiarzy, aby nie tylko wykonywali „w ramach społecznych“ projekty rzeźb, ale żeby jeszcze fundowali miastu pomniki — więc projekty leżą nie zrealizowane. Prof. Fajkosz prosił tylko o węgiel dla „wypieku“ swojej ceramicznej rzeźby, która ozdobiłaby jeden z zakopiańskich skwerów. Myślicie, że dostał? Akurat!

Jeśli chodzi o „estetyzację miasta“, to trzeba powiedzieć otwarcie: ani zakopiańska delegatura jako całość się nie popisała (jeden z plastyków poszedł do instytucji, z którą „w ramach estetyzacji“ miał współpracować — nie z projektem — ale z kosztorysami i cennikami ZPAP), ani miasto nie podjęło współpracy.

Rezultat jest taki, że na razie straszy na Krupówkach tandetnie z dykty wycięty Giewont, ustawiony na tle prawdziwego Giewontu, oraz różnorodne inne „dekora-cje“ w znakomity sposób zohydzające miasto.

SZCZYTOWE ŚCIANY

Z tych 20.000 złotych przeznaczonych na „resztę kultury“ w br. wydano dotąd 5.000 na 1-majową dekorację Zakopanego. Reszta tej reszty czyli 15.000 zł przeznaczona są na tzw. estetyzację miasta, czyli na planse i gabloty uliczne, oraz na wykonanie dwu lub trzech monumentalnych malowideł na szczytowych ścianach budynku.

Zdętniałam z przerażenia, gdy się o tym dowiedziałam. W Zakopanem bowiem istnieje już jeden taki „monument”. Ta ściana szczytowa na pewno nie jest szczytowym osiągnięciem sztuki plastycznej, ale że to z całą pewnością jest jakimś szczytem artystycznych nieporozumień. Żeby upiększyć miasto — i to takie jak Zakopane! — nie wystarczy namalować na kilkudziesięciometrowej płaszczyźnie robotnika o gigantycznych rozmiarach, trzy kominy hutnicze, gołąbka pokoju i umieścić napis w rodzaju: „Wczasy — zdobyć człowieka pracy”. Owszem, można namalować całkiem to samo. Można też trochę zmienić (np. jeden tylko komin ale za to trzech robotników). Wszystko to można. Ale na pewno trzeba, aby to było namalowane inaczej, czyli po prostu — dobrze.

Kiedy pytałam ojców miasta, dlaczego pozwalają na takie szpecenie Zakopanego, powiedziano mi, że to przecież wykonali plastycy. Gdy się zwróciłam z pretensjami do plastyków, odrzekli, że w tej sprawie MRN w ogóle nie porozumiało się z miejscową Delegaturą ZPAP, zamawiając ów kicz na własną rękę.

(Postanowiłam wtedy pojechać do Krakowa i zapytać w WRN, a także w Krakowskim Oddziale Zw. Plastyków, dlaczego nie ingerują w zakopiańskie sprawy, dlaczego pozwalają... itd. Pojechałam. Z okien autobusu zobaczyłam Wawel i ogarnęło mnie wzruszenie. Potem zobaczyłam na tle Wawelu szczytową ścianę, na której namalowana była Nowa Huta — i znowu ogarnęło mnie przerażenie. Ten sam „lwi pazur” co w Zakopanem, ten sam... Wtedy ogarnęło mnie zniechęcenie — nie poszłam i nie zapytałam... Odłożyłam to sobie na inną okazję!).

Gdy zapytałam w Prezydium MRN o stale mieszkających w Zakopanem pisarzy, z wielkim trudem i po wielu namysłach przypomniano sobie o Ludwiku Hieronimie Morstinie. W rozmowie tej nie padło natomiast ani nazwisko laureata Państwowej Nagrody Artystycznej

nej I stopnia — Romana Brandstaettera, ani znanego i popularnego pisarza Janusza Meissnera.

Po prostu nie istnieją oni dla MRN. Nie tylko zresztą w rozmowie. Nie istnieją i w praktyce, bo nie są zapraszani przez MRN ani dla wspólnego omawiania programów ważniejszych imprez artystyczno-kulturalnych, ani na wieczory autorskie, ani nawet do wzięcia udziału w Dniach Oświaty, Książki i Prasy, które odbyły się w Zakopanem w ogóle bez literatów!

Coś tu nie jest w porządku. Bo MRN nie pamięta nazwiska jednego z najwybitniejszych polskich dramaturgów, oznaczonego przez Państwo Ludowe Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, kiedy jest mowa o sprawach kulturalnych, ale przypomina je sobie doskonale, gdy wydaje nakaz dokwaterowania współlokatora do mansardowego mieszkania Morstina. O, wtedy MRN pamięta doskonale, że w Zakopanem na Kasprusiach mieszka obywatel Ludwik Hieronim Morstin...

O tym, że nakaz ten był niesłuszny, najlepiej świadczy fakt, że komisja odwoławcza w Krakowie rozstrzygnęła sprawę na korzyść Morstina, ale ileż swego cennego czasu i zdrowia stracił niepotrzebnie znakomity pisarz dla odwojowania tych kilku metrów kwadratowych, które z prawa mu się przecież należą!

Zdaje sobie doskonale sprawę, jak trudną rzeczą jest gospodarka lokalami, ale mimo wszelkich trudności nie jest chyba w porządku, że np. Teatr im. Moniuszki, o którym była już mowa, nie ma własnego pomieszczenia, tylko odbywa próby w... magazynie, że siedziba Delegatury Związku Polskich Artystów Plastyków mieści się w... składzie Centralnego Biura Wystaw, w pomieszczeniu bez okna, nie opalanym w zimie — żeby poprzestać na tych dwóch jaskrawych przykładach. Ale za to, widocznie dla utrzymania równowagi, w świetlicy przy ul. Kościuszki urządzono... składnicę octu!

I gdyby tak podsumować ilość metrów kwadrato-

wych zajętych na cele kulturalne w Zakopanem, to wypadłaby cyfra doprawdy bardzo ubożuchna, niska i niewystarczająca!

NIKT NIE JEST PROROKIEM...

Bez przesady można powiedzieć, że Państwowe Liceum Technik Plastycznych w Zakopanem jest znane nie tylko w Polsce. Chwalimy się tym Liceum i jego niezwykle wysokim poziomem artystycznym, przede wszystkim przed wycieczkami z zagranicy, które zwiedzają Zakopane. Zainteresowanie Liceum jest naprawdę duże. Ale że — jak słusznie powiada przysłowie — nikt nie jest prorokiem we własnym kraju — MRN nie interesuje się szkołą. Po co? Jest, działa — i to jeszcze jak „pokazowo”. Czego chcieć więcej? Zdarzały się jednak sytuacje, kiedy nawet MRN...

...Było to w roku pańskim 1952. MRN orzekła wtedy, że stan budynku, w którym mieszkają uczniowie Liceum (nb. jest to utalentowana młodzież, przeważnie z biedniackich wsi), jest taki, że grozi życiu uczniów. Po prostu stara ruderka może się zawalić. Orzeczenie to było zupełnie niewątpliwym przejawem troski MRN o młodzież, chlubę miastu przynoszącą...

Dalszym jednak przejawem tej troski, a jednocześnie jedynym przez MRN proponowanym środkiem zaradczym była... obietnica zamknięcia i zapłombowania internatu aż do przeprowadzenia remontu.

— Ale za co? — pytała szkoła. — Dajcie nam pieniądze na remont albo zastępcze pomieszczenie na internat!

Liceum nie dostało jednak ani jednego, ani drugiego. Ponieważ MRN nie spełniła swej obietnicy „zapłombowania” internatu, młodzież mieszkała w nim jeszcze prawie dwa lata, dopóki... I tu następuje ów „pikantny szczegół”: jak myślicie, kto ostatecznie dał pieniądze na remont? Może wzruszona potrzebami szkoły MRN? WRN Kraków? Może Ministerstwo Kultury i Sztuki? O, nie! Pieniądze dał zakopiańskiemu Liceum ni mniej ni więcej tylko ...Społeczny Fundusz Odbudowy Stolicy! I gdyby nie owa pomoc przez warszawiaków w grudniu 1953 roku udzielona — internat w końcu musiałby rzeczywiście zostać zamknięty, a co za tym idzie — jedna z najlepszych w Polsce szkół artystycznych — byłaby nieczynna!

OTWARTE DRZWI

Kiedy drzwi Oddziału Kultury przy Prezydium MRN zostały, po powrocie kierownika z terenu, otwarte, dowiedziałam się, że jednoosobowy Oddział ma szerokie zamierzenia, że zorganizował już jedną naradę pracowników kultury (na którą ze 130 zaproszonych przyszło tylko 30 osób, m. in. nie przyszedł nikt z Prezydium...), że dąży do scentralizowania rozproszonych wysiłków i działań, że niedługo odbędzie się narada druga, tym razem w szerszym gronie, że wreszcie rozpisana została dla wszystkich placówek i działaczy kulturalnych ankietka, w której wypowiedzieć się oni mają o swych bołączkach, potrzebach i zamierzeniach.

To ostatnie słówko „ankieta” — nieco mnie zmroziło. Ankietka... no cóż... można i tak. Ale jeśli po 10 latach gospodarki w Zakopanem MRN musi aż ankietę rozpisywać, aby dowiedzieć się o potrzebach placówek, podczas gdy te placówki nieustannie bombardują MRN prośbami i żądaniem — to też chyba nie jest w porządku... Jakaż gwarancja, że te żądania będą — po wypełnieniu ankiety — spełnione?

O RADĘ KULTURY I DOM KULTURY

Niektórzy z działaczy MRN-owskich rozumieją wprawdzie doskonale potrzebę upowszechniania kultury i sztuki, ale absolutnie „nie znają się na sztuce” — jak to określił ktoś z moich rozmówców.

I wcale nie mamy do nich o to pretensji, aby np. przewodniczący MRN był artystą lub krytykiem — nie o to więc chodzi. Ale trudna sztuka mądrego sprawowania władzy polega nie na tym, aby samejmu wszystkemu umieć i na wszystkim się znać, bo to jest absolutnie niemożliwe — ale by umieć dobrać sobie odpowiednich doradców i konsultantów.

Dlatego pytam: dlaczego przez 10 lat istnienia Polski Ludowej nie powstała przy władzach miejskich w Zakopanem Społeczna Rada Kultury, złożona z artystów i działaczy kulturalnych, z pisarzy, architektów, plastyków, nauczycieli, instruktorów świetlicowych i — uwzględniając specyfikę Zakopanego — znawców folkloru góralskiego, Tatr i przedstawicieli Tatrzńskiego Parku Narodowego?

Poza tym — w Zakopanem powinien być najszybciej powstać Dom Kultury, w którym skoncentrowałoby się całe życie kulturalne. Trzeba stworzyć nie tylko jak dotąd Komitet Budowy, ale i fundusz na budowę.

I nie będzie dobrze w Zakopanem, dopóki wszyscy „ludzie kultury” i MRN nie zjednoczą się w jakiś wspólny, jedną ożywiony myślą front: Zakopane ma stać się jednym z głównych ośrodków kulturalnych w Polsce — tak, jak stało się „stolicą wczasową” kraju.

PARĘ PYTAŃ NIEDYSKRETNÝCH — W STRONĘ KRAKOWA SKIEROWANYCH

Jak wiadomo, Zakopane leży w woj. krakowskim, a co za tym idzie, władze zakopiańskie podlegają krakowskiemu.

Zakopane potrzebuje pomocy z zewnątrz. Dlaczego WRN Kraków tej pomocy nie daje? Dlaczego z Wydziału Kultury w Krakowie nikt nie przyjeżdża, aby pomóc w generalnym ustawieniu polityki kulturalnej? Dlaczego żąda się tylko sprawozdań? Dlaczego, z wyjątkiem Teatru Młodego Widza, inne teatry krakowskie nie dają od czasu do czasu przedstawień w Zakopanem? Dlaczego Krakowski Oddział Związku Polskich Artystów Plastyków nie pomoże zakopiańskiemu kolegom? Dlaczego?

Można by te pytania mnożyć. Poprzestańmy na tych paru. Zaczekajmy na odpowiedź...

I nie to jest najważniejsze, że „Świat” czeka na tę odpowiedź. Ważniejsze jest — że czeka Zakopane!



FOTO

KORRESPONDENCI DONOSZA

— WARSZAWIAKOM ZAWSZE SIĘ SPIESZY —



„do pracy i do domu, w sklepie, przy obiedzie czy w kawiarni. Nawet jeźdźnię przechodzą w pośpiechu, często nie zwracając uwagi na przepisy ruchu ulicznego.

1.

Oto typowy obrazek z ulicy warszawskiej: Mimo że ruch dla pieszych jest wstrzymany, trzech przechodniów „nie ma czasu”



— W ŁUGACH DOBRZE GOSPODARUJĄ —

W dniu 22 lipca 1950 r., 17 mało i średniorolnych chłopów z gromady Ługi, w powiecie zielonogórskim, założyło spółdzielnię produkcyjną. Ich zespołowy inwentarz policzyć można było na palcach obu rąk. Mieli bowiem zaledwie 2 krowy i 8 koni, ani jednej świni, ani jednej owcy.

Minęły właśnie 4 lata gos-



podarowania na wspólnym. Spróbujmy podsumować dorobek: liczba członków spółdzielni wzrosła do 30. Inwentarz powiększył się do 22 krow, 6 cielnych jałówek, 26 cieląt, 8 macior, 63 świni, 19 prosiąt i 40 owiec, nie licząc oczywiście tego, co rokrocznie sprzedawane jest w ramach obowiązkowych dostaw czy kontraktacji.

Skok duży, tym większy, jeżeli się zważy, że gleba w Ługach nie należy do najlepszych. Osiągnięcia te zawdzięczają więc spółdzielcy racjonalnej gospodarce.

I tak np. posiadają w Ługach sporo łąk. Były one jednak mało wydajne. Trawa rosła marna, rzadka. Zbierano z hektara najwyżej kilka fur siana.

Póki chłopci ługowscy gospodarowali w pojedynkę, na uprawę łąk jakoś nie zwracali uwagi. Inaczej było po założeniu spółdzielni. Łąki więc przeorano, zasłono nawozami i posiano trawę.

Było to w roku 1952. W rok później spółdzielcy zebrali już z 1 ha około 80 kwintali, a w roku bieżącym, po ponownej uprawie łąk na wiosnę, obliczają zbiory do 100 kwintali z hektara.

Dotychczasowe sukcesy nie zadowalają spółdzielców. Opracowują oni plany dalszego zagospodarowania łąk, aby w przyszłym roku uzyskać więcej paszy, która pozwoli na planowy rozwój hodowli.

H. Myśliński
Zielona Góra

JAK NIE NALEŻY ORGANIZOWAĆ WYCIECZEK W TATRY



Wycieczka w Tatry powinna być miłą rozrywką i wytchnieniem. Niestety, wiele zakładów pracy zamiast organizować — improwizuje wycieczki, zda-

jąc wszystko na los szczęścia. Tymczasem przy braku organizacji, szczęście rzadko kiedy dopisuje. Zamiast wędrować po górach uczestnicy takiej załprowizowanej wy-



cieczki zmuszeni są sterczeć na Krupówkach i załatwiać formalności.

Przykładem takiej złej organizacji, a raczej braku jakiegokolwiek organizacji była wycieczka pracowników Zakładów Włókienniczych im. Rychlińskiego w Bielsku.

Wyjechano z Bielska o godzinie 23. Do auta ciężarowego, obliczonego na 50 osób, załadowano ponad 100 pasażerów, którzy dusili się jak przysłowiowe śledzie w beczce przez całą noc. Do Zakopanego wycieczkowicze przybyli o 3 nad ranem, oczekali więc 5 godzin na otwarciu Biura Obsługi Turystów.

Następnie:

— Na schodach pralni wypełniali przepisową listę wycieczkową, choć mogli to zrobić jeszcze w Bielsku.

— Nudził się wiele godzin w aucie lub „prostowali kości” na chodnikach. Postój od chwili przybycia do załatwienia formalności trwał bowiem 7 godzin!

— Przewodnik PTTK musiał na miejscu zaznajamiać uczestników z regulaminem wycieczki.

— W rezultacie i tak jeden z uczestników zamiast do domu pojechał karetką pogotowia do szpitala na skutek obrażeń odniesionych w górach.

Na szczęście nie mu się groźnego nie stało, ale jeśli człowiek jest zmęczony — o wypadek w Tatrach nie trudno. Ofiara lekkomyślnych organizatorów powinna przestrzec więc wszystkich przed improwizacją wycieczek w góry.

Zaniechajmy raczej wycieczek, jeśli mamy marnować czas, benzynę i narażać zdrowie ludzkie!

Uczmy się planować wypocinek i rozrywki tak, jak planujemy pracę, a unikniemy wielu rozczarowań i nie-spodzianek!

Zbigniew Przygórski
Zdjęcia: Władysław Werner

— RZESZÓW CZEKA NA SALĘ KONCERTOWĄ —

Halina Czerny - Stefańska grała w Łańcucie, małym miasteczku oddalonym o 17 km od wojewódzkiego Rzeszowa, bo Rzeszów nie ma ani sali koncertowej, ani odpowiedniego instrumentu.

Buduje się w Rzeszowie salę kinową, obliczoną na 600 miejsc. Czy nie można by z niej korzystać również jako z sali koncertowej?

Wydaje się, że przy dobrej woli odnośnych władz można będzie z powodzeniem połączyć działalność takich dwu placówek kulturalnych.

Władysława Durska,
Rzeszów



W zamku łańcuckim odbywają się koncerty

— MISTRZ I JEGO DRUŻYNA —

Można powiedzieć bez przesady, że Franciszka Sabana zna i ceni każdy sportowiec wiejski.

Niektórzy znają go z Ośrodka Szkoleniowego LZS w Białowieży, gdzie niestrudzenie szkoli kadry instruktorów dla sportu wiejskiego. Inni znają go z imprez i zawodów, które pod sprężystym kierownictwem Sabana przebiegają sprawnie i planowo.

Uczestnicy tegorocznej Spartakiady LZS zobaczyli Franciszka Sabana w innej roli — w roli zawodnika.

Franciszek Saban był członkiem drużyny szermierzy na bagnety woj. białostockiego, która po zwycięstwie zdobyła zaszczytny tytuł mistrza wsi polskiej na rok 1954.

Saban walczył wspaniale, demonstrując szermierzom wiejskim świetny atak i doskonałą obronę. Pomimo swego wieku wykazał doskonałą kondycję i wytrzymałość.

Bardzo dobrze walczyli także uczniowie i wychowankowie Sabana.

Jeden z nich, 19-letni Jan



Bajko, instruktor wychowania fizycznego w Ośrodku Szkolenia LZS w Białowieży, uprawia szermierkę zaledwie od trzech miesięcy, a reprezentuje już bardzo wysoki poziom.

Saban troskliwie i prawdziwie po ojcowsku opiekuje się młodymi sportowcami. Niektórym z nich przepowiada sukcesy na szermierczej planszy.

T. Czabański, Warszawa



FOTOGRAFIA NA CODZIEN

PORTRET NA WOLNYM POWIETRZU

Smiało można przyjąć, iż 70% zdjęć amatorskich stanowią portrety. A raczej usiłowania wykonania portretów swych znajomych i bliskich, gdyż zdjęciom tym z reguły brak najważniejszego — życia i wyrazu.

Jak osiągnąć na zdjęciu ten efekt, co czynić, ażeby fotografia człowieka była pełna wyrazu, a nie pozostawała płaska, bezduszną, automatyczną rejestracją podobieństwa?

Jedną z dróg wiodących do tego celu jest wykonanie całej serii zdjęć uchwycenych „na gość”, w momentach, gdy dana osoba jest czymś zajęta i nie sili się na pozowanie przed obiektywem. Zdjęcia takie najlepiej jest wykonać na otwartym powietrzu, w dobrych warunkach świetlnych, pozwalających na stosowanie szybkiej migawki i jednocześnie użycie silnej przysłony, dającej dużą strefę głębi ostrości.

Przydałby się tu obiektyw o długiej ogniskowej, umożliwiający fotografowanie z dość znacznej odległości, wymaga to jednak bardzo dokładnego nastawienia odległości, co zmniejsza szanse uchwycenia odpowiedniego momentu zdjęcia. Ale i naszym poczytnym obiektywem o standardowej ogniskowej możemy osiągnąć doskonałe wyniki; pamiętać tylko musimy o silnym przysłonięciu obiektywu, by uzyskać szeroki pas głębi ostrości.

Nie fotografujemy nigdy twarzy w samo południe, gdy słońce padające pionowo z góry daje nienaturalne i nieefektywne oświetlenie, a raczej o zachodzie słońca, i to w momencie, gdy na twarzy modela nie kładą się głębokie cienie. Zdjęcia nasze możemy też wykonać w miejscu oświetlonym. Tło dobieramy spokojne i jednolite — niebo, płaszczyznę muru czy zieleni. Przy zdjęciach pod światło, stanowiących nader trudną dziedzinę fotografii, pamiętajmy o ochronie przeciwsłonecznej. W wielu wypadkach piękne efekty da nam soczewka zmniejszająca „Duto”. Zastąpić ją możemy również gazą naćgniętą na obiektyw. Trudno tu jednak o podawanie jakiegokolwiek recepty — decyduje o tym charakter zdjęcia, oświetlenie, wyraz fotografowanej twarzy, jej rysy.

ODPOWIEDZI

WŁ. BROŻEK, WAŁBRZYCH. — Nowego typu aparatu „Praktina”, produkowanego w Niemieckiej Republice Demokratycznej, nie ma na naszym rynku. Ceny tego aparatu nie znamy.

J. ŚWIERCZEWSKI, KOŁOBRZEG. — Pisząc o nowym typie zagranicznego aparatu na błonę perforowaną 70 mm, zaznaczaliśmy, iż jest on dopiero w produkcji wstępnej i nie ma go oficjalnie w sprzedaży, nie należy więc spodziewać się rychło możliwości importowych. Nie możemy też określić jego ceny. Przypominamy, iż nie produkujemy i nie przewidujemy produkcji taśmy perforowanej szerokości 70 mm, posiadanie więc nawet tego typu aparatu nie dałoby wielkiej pociechy z braku negatywów i kaset do nich. — Do ap. „Zorki” produkowane są obiektywy o krótkiej ogniskowej 35 i 28 mm, które niekiedy można nabyć w sklepach komisowych.

FOTOAMATOR Z WAŁBRZYCHA. — Istnieją urządzenia do synchronizowania zapłonu lampy błyskowej z otwarciem migawki, zbudowane na zasadzie wspólnego działania wężka na wyzwalacz migawki i jednocześnie zamknięcia obwodu prądu z baterii, powodującego zapłon żarówki. Obecnie jednak nie ma w handlu żarówek błyskowych.

FRASZKA

Kto jest zupełnym beztalenciem,
Ten nie ma prawa być bydłkiem,
Bo krzykną:
— „Nie dość, że pisze źle, bezskrzydle,
Lecz jeszcze jest w dodatku bydłem!
I taki gość na Parnas pcha się?
Nie, nie zagościsz na Parnasie!”

Lecz ten, kto talent ma, broń Boże,
Także bydłkiem być nie może,
Bo powiedzą:
— „No dobrze, talent... lecz cóż z tego,
Gdy brak mu
kośca moralnego?...”

Bydłkiem być — jest zawsze źle,
Czy ma się talent, czy też nie.

Więc stąd (bez dalszych komentarzy):
Jak najmniej bydła! wśród pisarzy!

J. M.



SATYRA

na stronie

17

POD REDAKCJĄ JANUSZA MINKIEWICZA

ROZSTRZYGNIECIE KONKURSU

JAN BRZECZWA

Konkurs na pieśń masową, rozpisany przez Centralny Zarząd Naczyn Emaliowanych, został po dłuższych nadradach rozstrzygnięty. Pierwszej i drugiej nagrody, zgodnie z okólnikiem Ministerstwa Drobnych Oszczędności, nie przyznano, natomiast jedyną trzecią nagrodę otrzymała pieśń ob. Rzempolka Onufrego do słów ob. Mickiewicza Adama pt. „Polaly się łyzy”.

Po przewietrzeniu sali i nastrojeniu fortepianu przewodniczący Sądu Konkursowego odczytał tekst nagrodzonej pieśni:

Polaly się łyzy me czyste, rześiste,
Na me dzieciństwo sielskie, anielskie,
Na moją młodość górną i durną,
Na mój wiek męski, wiek kłęski
Polaly się łyzy me czyste, rześiste.

Obywatel Pyzio omówił treść utworu, podkreślił jego zalety artystyczne i wypowiedział się za wydaniem pieśni w nakładzie masowym. Kończąc swoje przemówienie, mówca zwrócił jednak uwagę na konieczność zastąpienia wyrazu „anielskie” jakimś innym, gdyż wprowadza on akcent mistyczny, obcy pojęciom realizmu socjalistycznego. Zastanawiając się nad intencją poety, mówca słusznie zauważył, że druga linijka utworu miała wyrażać smutną dolę dziecka chłopskiego w ustroju feudalnym, na co wskazuje wyraz „sielskie”, pochodzący od słowa „siolo”.

Ob. Merdas poparł wywody ob. Pyzia i dodał od siebie, że przy złej dykcji wykonawców pieśni wyraz „anielskie” może być zrozumiany jako „angielskie”, co stałoby od razu, rzecz prosta, wykorzystane przez zwolenników kosmopolityzmu.

Podzielając zdanie obu mówców oraz na wniosek Ministerstwa Przemysłu Lekkiego, Sąd Konkursowy wprowadził drobną poprawkę, dzięki której druga linijka tekstu otrzymała brzmienie:

„Na me dzieciństwo polne, bezrolne”

Przedstawiciel Centralnego Domu Towarowego, podnosząc wysoki artyzm tekstu i ładunek uczuciowy zawarty w utworze, zwrócił uwagę na niestosowność słowa „durną”, które w odniesieniu do pojęcia młodości może być źle rozumiane przez organizacje młodzieżowe.

Ob. Nabakier ze szkoły podstawowej Nr. 198 przyklasnął mówcy i zaproponował doraźne zastąpienie słów: „Na moją młodość górną i durną” słowami: „Na moją młodość chwacką, junacką”. Propozycja spotkała się z ogólną aprobatą.

Przechodząc do trzeciej linijki utworu, większość zebranych uznała za wskazane usunięcie słów „wiek kłęski”. Koleżanka Lipa stwierdziła, że nie mieszczą się one w ramach pojęć o budownictwie socjalistycznym i chociaż autor usprawiedliwia taką postawę, jednak dzisiaj jest ona nie do przyjęcia. Na poparcie swego twierdzenia kol. Lipa zacytowała broszurę prof. dr. Krotta i dwa roczniki „Nowej Kultury”. Spośród kilku propozycji zgłoszonych przez Centralę Rybną i przedstawicieli klubu sportowego „Dryzg” wybrano tekst:

„Na mój dziarski wiek robociarski”.

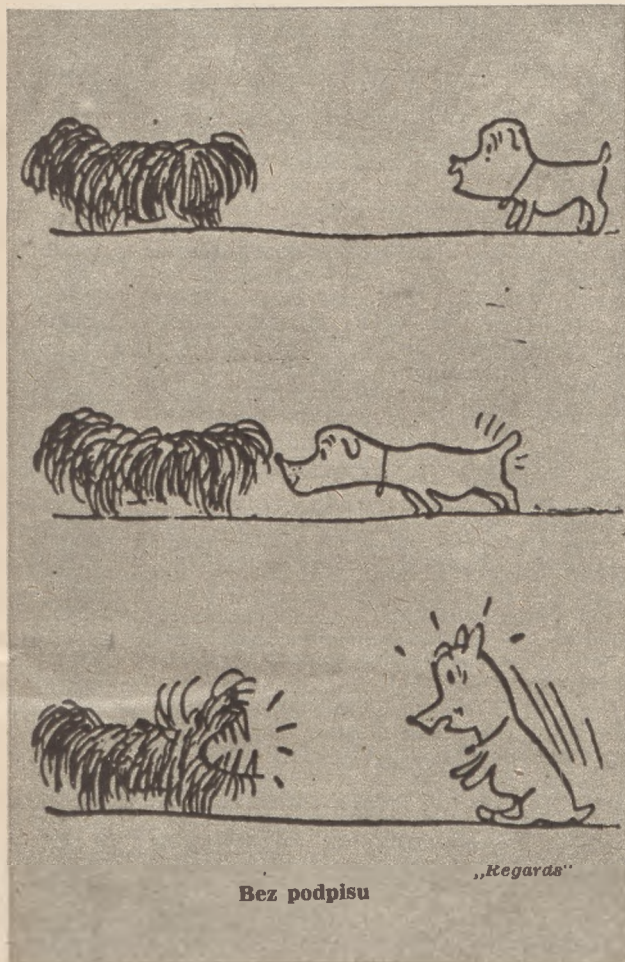
Na zakończenie dyskusji zabrał jeszcze głos redaktor Hejże, który zanalizował pieśń od strony jej przydatności społecznej i zatrzymał się głównie na pierwszym i końcowym wierszu utworu. Wywód swój zreasumował on ostatecznym stwierdzeniem, że w naszej ciężkiej ludowej nie ma miejsca na łyzy, że natomiast wszelkie trudności i niepowodzenia należy przezwyciężać ze zdrowym uśmiechem na ustach, jak to czynią pozytywni bohaterowie przodujących dzieł naszej literatury współczesnej. Słuszną postawą red. Hejże znalazła uznanie wśród zebranych i słowa:

„Polaly się łyzy me czyste, rześiste”
zastąpiono zgodnie słowami:

„Popłynął śmiech mój zdrowy, ludowy”.

Po wyczerpaniu listy mówców przewodniczący Sądu Konkursowego odczytał poprawiony tekst pieśni, który dzięki kolektywnemu wysiłkowi zebranych otrzymał brzmienie następujące:

Popłynął śmiech mój zdrowy, ludowy,
Na me dzieciństwo polne, bezrolne,
Na moją młodość chwacką, junacką,
Na mój dziarski wiek robociarski
Popłynął śmiech mój zdrowy, ludowy.

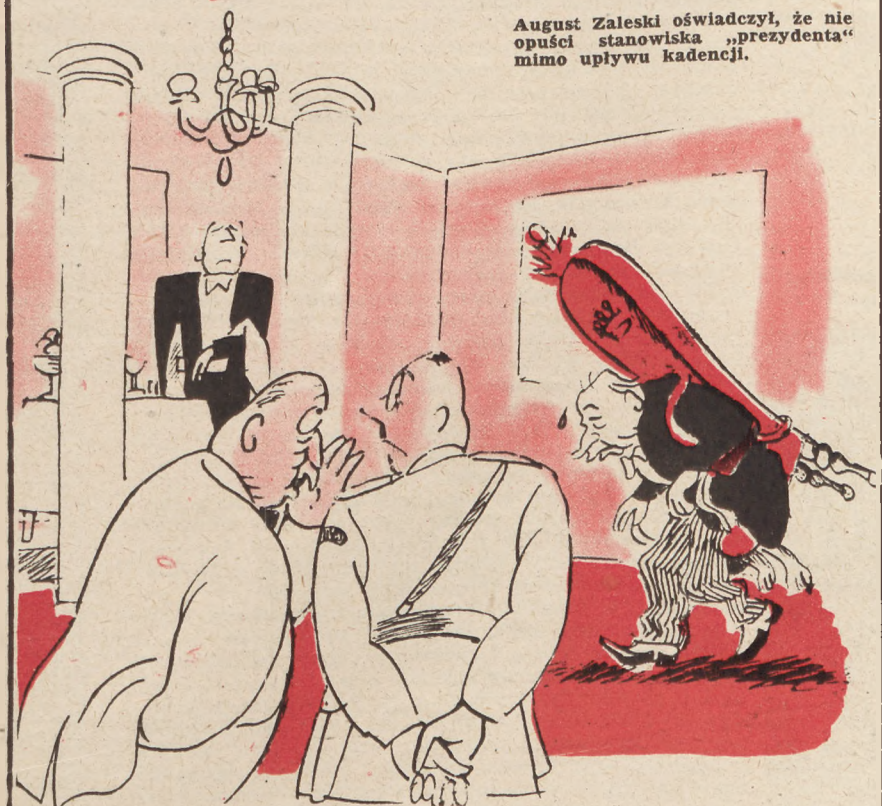


Bez podpisu

„Kegarda”

W LONDYŃSKIM GRAJDOLKU

August Zaleski oświadczył, że nie opuści stanowiska „prezydenta” mimo upływu kadencji.



Biedny August. boi się pozostawić na chwilę swój fotel prezydencki, żeby mu go ktoś nie zajął.

Rys. Karol Ferster

WRÓG

Człowiek wrócił z gór, znad morza,
przywiózł we krwi sól i pożar.
przywiózł wiarę w siebie, w ludzi,
w słońce, w żagle.

Odzież w strzępach — skały, rafy! —
włęcz otwiera ciemne szafy,
żeby włożyć coś na skórę,
a tu — nagle...

Trzepocąca, księżycowa,
nierealna, motylkowa,
lśni Tinea Pellionella.
(Czytaj:
mole).

Pruszy w twarz ci martwe srebro
martwą nudą, zgnilą febrą —
oderwane od głów krąży
aure-
ole.

Zakrążyły brudną chmurką,
wypłynęły na podwórko,
już nad miastem mkną w obłądym
pędzie.

I opadły gdzie się trafi
senni goście z ciemnej szafy,
w cztery kąty, nawet w piąty —
wszędzie.

Już po kątach się rozsiadły.
Toczy wszystko mój zajadły,
lęgnie się, zaszywa w fałdy
świata.

Wzarił się w światła kilim pawi,
wszystko żuje, wszystko strawi,
i znów dalej, znów wytrwale
łazi.

Ledwo poczuł, że już słabnie,
jest już w tobie, w duszy, na dnie,
i paszczką święcą miękką
żre cię.

Świat dłań szafa, szafa — światem.
Twe marzenia żre jak szmatę.
Drzemie larwą, krąży strzygą
w świecie.

Spójrz — poeta Iks — to nie żart!
też ma mola — mól go przeżarł —
i zbutwiało się zeń syple
próchno!

Lecz najbardziej w biur odmetach
mól rozbawił się, rozpętał —
i przeżarł przezeń ludzkie
głuchną.

Na nic słowa — głuchnie, ślepnie.
coś tam rzucił na odczepne,
i już sam pod sufit frunął
molem!

W miękki pył się rozsypały
piramidy akt, szpargały —
wszystko w tym odrealnionym
kole...

Lecz my okna otworzymy,
miasta wiatrem omyjemy,
wypłoszymy z dusz zatęchłych
mole.

Słońcem świat wyszorujemy,
ludzi w ludzi przemienimy,
a po pracy — hajda z nimi.
w pole!

ANATOL STERN

BIEŻNI

KAZIMIERZ GRYŻEWSKI

Na stadionie w Brukseli Kusociński zwycięża, przychodząc przed Belgiem Marechalem. Po poważnej chorobie Janusz zdołał, dzięki silnej woli i racjonalnym treningom, odzyskać hegemonię na bieżni



Janusz zszedł z bieżni z opuszczoną głową. Przeżywał tragedię, lecz dobrze wiedział, że autorem jej był on sam. Od tej chwili Kusociński już nigdy więcej nie lekceważył rywali. Kto wie, czy właśnie wypadek w Turynie nie zahartował jego woli i nie uczynił go jeszcze więcej odpornym na przeciwności życia. Po bardzo poważnej chorobie kolana i po przebytej operacji Janusz dzięki olbrzymiej pracy, silnej woli i racjonalnemu treningowi, po długiej przerwie znów odzyskał hegemonię na bieżni i pokonał wielu wspaniałych biegaczy fińskich.



SPRAWY DRAŻLIWE

A o co szło? Zdaje się, że o to, by móc się przeciwstawić CWKS-owi, Gwardii czy AZS-owi. Dalibóg, nie jest dla naszych włóknarzy np. — hańbą porażka reprezentacji Wojska Polskiego, kwiatem młodzieży męskiej! Za to chcielibyśmy wleźć, które zrzeszenie co jest warte. I nawet który ośrodek miejski. Można szkolić się i trenować na obozach — razem. Walczyć o sukcesy trzeba — „zab za zab” — oddzielnie.



WYMIERAJĄCE PLEMIE ŁANCYPUPÓW

Napisał: JANUSZ JEŻEWSKI

Ilustrował: IGNACY WITCZ

PRZED sześćdziesięciu laty zostałem zesłany do karnych batalionów we wschodniej Syberii, za „harde stawianie się władzy przełożonej“. Skierowano mnie do uroczyszcza Słowianka, położonego przy zatoce o tej samej nazwie nad Oceanem Spokojnym w pobliżu Władywostoku.

Wzdłuż całej zatoki Amurskiej rozmieszczono takie karne bataliony, których właściwym zadaniem była nie służba garnizonowa, lecz przygotowanie kraju dla osadnictwa.

Okolica była piękna, dzika, pełna niewysłowionego uroku. Teren falisty o znacznych nieraz wzniesieniach, pokryty bujną roślinnością. Ziemia żyzna i zdrowy, przyjemny klimat sprzyjały szybkoemu, jak na ówczesne czasy, zagospodarowaniu tych obszarów.

Żołnierze zajmowali się głównie wyrębem lasów, budową koszar oraz budynków gospodarczych. Na razie mieszkaliśmy po namiotach w tzw. pałatkach, prowadząc bardzo prymitywny tryb życia. Szeregowi, od których wymagało się jedynie pracy, nie dając nic w zamian, wyglądem swym przypominali raczej dzikich bandytów górskich niż żołnierzy, gdyż jedyną cechą mającą ich upodobnić do wojska były ogromne, futrzane papachy. Życie oficerów przedstawiało się oplataniem — od rana pili wódkę w wielkich ilościach, a wieczorem karty były jedyną ich rozrywką. Żyli tak z tygodnia na tydzień, oczekując swej kolejki wyjazdu do Władywostoku, gdzie można było „nareszcie uczciwie się zabawić“, gdyż miasto posiadało już kilka restauracji, domów publicznych oraz — tajny dom gry.

Ćwiczeń wojskowych prawie nie prowadzono, czas pochłaniały głównie budowa i obróbka potrzebnego do tej budowy drzewa. Duży nacisk kładziono jedynie na sprawność strzelecką żołnierzy. Właśnie ostatnio przydzielono batalionowi pięciostrzałowe karabiny będące sensacyjną nowością zarówno dla oficerów, jak i dla szeregowych, którzy z zamiłowaniem strzelali także poza ćwiczeniami, co oczywiście było surowo wzbronione. Kiedyś o mało nie padłem ofiarą tej żyłki strzeleckiej...

Pewnego pięknego poranka odbywałem swą codzienną przejażdżkę konną wzdłuż iskrzącej się srebrzyście we wczesnym słońcu zatoki, gdy usłyszałem niedaleki wystrzał i kula błyknęła mi obok ucha. Rozejrzałem się wokół i w pobliżu skał nadmorskich, o jakieś 400—500 metrów, ujrzałem dobrze mi znany zarys papachy noszonej przez żołnierzy. Wspiąłem konia ostrogą i cwałem puściłem się ku śmiałkowi. W tej samej chwili druga kula świsnęła mi koło uszu.

Kiedy strzelec ze strachem poznał w zbliżającym się ku niemu pełnym galopem jeźdźcu porucznika ze swego batalionu, cisnął karabin w krzaki i z okrzykiem: „Pomilujcie wasze błagorodie“ padł na kolana. Gdy dojeżdżałem do niego, kipiałem wewnętrznym oburzeniem i miałem szczerzy zamiar, wbrew swym zwyczajom, wzorem przyjętym podówczas nieomal powszechnie wśród oficerów — „wychowawców“ — zrugać niefortunnego myśliwego „po maturszce“. Kiedy jednak ujrzałem wystraszoną twarz winowajcy, wszelka złość opuściła mnie natychmiast.

— Oszalałeś? Przecież mogłeś mnie zabić.

— Darujcie, panie! Nie poznałem was. Myślałem, że to jakiś tutejszy.

— Jak to? Więc umyślnie do człowieka strzelałeś? Niewinną duszę chciałeś zgubić?

— Przecież tutejszy nie ma duszy, tylko parę.

Na taki argument złość znowu mnie ogarnęła. Nie chciałem jednak ani wymyślać, ani wdawać się z gorliwym strzelcem w dysputę filozoficzną. Machnąłem roz-

paczliwie ręką i każąc zameldować się po południu w mej kwaterze, zawróciłem konia i odjechałem.

W owych czasach o jakiegokolwiek pracy wychowawczej wśród żołnierzy nie było mowy. Zbyt bliskie kontakty oficerów z szeregowymi z reguły pachniały buntem i narażały na kłopotliwe dochodzenie żandarmerii. Oficerowie spędzali wolny czas na grze w karty i orgiach pijackich w garnizonie lub we Władywostoku, gdzie rozrywki ich miały podobny, acz bardziej urozmaicony charakter.

Do ulubionych zabaw oficerskich należały „kukułka“ i zabawa w rybaka. Czterech oficerów stawało w rogach izby, a piąty na środku z nabitym ostrymi nabojami rewolwerem. W izbie musiało być zupełnie ciemno i stojący po rogach wołali „kuku“, a wówczas kolega ich strzelał w kierunku głosu. „Zabawa“ polegała na tym, że strzelać można było tylko w kąt izby, a wołający „kuku“ musiał jednocześnie wyskoczyć z kąta, aby uniknąć rany lub śmierci. Kilka grobów w Słowiance na wybrzeżu oceanu jest smutnym świadectwem takiej właśnie niezręczności młodych oficerów.

Mniej makabryczna, ale równie „pomysłowa“ była zabawa w rybaka. W pokoju oficerskim kazano żołnierzom wylewać wiadra wody, dopóki nie przypominał on sadzawki. Wówczas siedzący na swych łóżkach młodzi ludzie ze szklanką wódki w jednej ręce, a z wędką w drugiej usiłowali zręcznym ruchem łowcy pstrągów omotać sznurkiem i wyłowić z wody sardynkę, których pewną ilość uprzednio do niej wrzucono. Pomyślny połów musiał być uczczony przez zręcznego rybaka i jego kolegów wychyleniem pełnych szklanek.

Jak wspominałem, we Władywostoku zabawy bywały jeszcze bardziej „wyszukane i urozmaicone“. Między oficerami zawiązał się tak zwany „Klub Łancypupów“, którego zadaniem było prześciganie się w pijackich kawałach i najbardziej nieprawdopodobnych pomysłach. Członkowie klubu lubili spędzać chwile wolne od rozpuści i orgii pijackich w domu gry, mieszczącym się w dzielnicy handlowej, w posesji firmy amerykańskiej „Jerkins Brothers“. Kasyno gry nie było bynajmniej wytwornym luksusowym lokalem. Wchodziło się doń krętymi, żelaznymi schodkami wiodącymi w dół do wysokiej sutereny. W odrapanej izbie stał duży stół, otoczony prostymi krzesłami. Wokół stołu tłoczyła się ciżba rozamiętnionych graczy, rzucając do puli coraz to nowe banknoty, które zgarniał kawałkiem zwykłych ogrodowych grabi chuderławny krupier o nieokreślonym wyglądzie. Okrągłe, niby to dystygowane ruchy najbardziej przypominały alfonsa z europejskiego miasta portowego. W sali panował nieopisany zaduch i upał. Podłużne okna, umieszczone niemal pod sufitem spelunki, wychodziły na ulicę ruchliwą i gwarną we dnie, a opuszczała po zachodzie słońca. Jedyne dopływy świeżego powietrza wpadał do sali gry przez te otwarte okna, któ-

re zresztą nigdy nie były zamykane, a nawet nie mogły być zamknięte, gdyż brakowało im szyb lub całych ram.

Pewnej parnej nocy, podczas pięknego nadoceanicznego lata, gdy z ciemnogranatowego nieba nad Władywostokiem porozumiewawczo mrugały rozżarzone gwiazdy, gracze liczniej niż zwykle otaczali stół, śledząc pilnie kręcące się niewielkie koło rulety. Wszyscy byli w rozchwilanych koszulach, a niektórzy i te zrzucili, świecąc nagimi torsami. Wszyscy ociekali potem, zaduch w sali nieznośniejszy był niż zwykle. Goście spelunki zrzucali swe surduty, marynarki i białe mundury oficerskie, poprzednio przezornie opróżniwszy kieszenie z wszelkich przedmiotów, którymi wypychali spodnie. Cała ta garderoba tworzyła w kącie różnokolorową kupę, z której unosił się smrodliwy opar.

Na stole, obok kręcącej się rulety, piętrzył się jak zwykle stos banknotów, a wyliniały krupier o nieokreślonym wyglądzie zgarniał kawałkiem grabi papierowe pięcio, dziesięcio, dwudziestopięcio, a nawet sturubłówki. W sali panowała napięta, czujna cisza, przerywana ochrypłymi, krótkimi meldunkami krupiera i nerwowymi głosami graczy:

— Dwadzieścia pięć na drugi kwartał.

— Dychę na zero.

— Piątka na czarne.

Nagle za oknem, równym z poziomem pustej, ciemnej ulicy, odezwał się gruby, przepity głos:

— Po banku!

I przez okno wsunęła się wielka, drewniana łopata do zgarniania śniegu, cała ociekająca miodem, i energicznie nakryła stos banknotów. Nim zdumieni gracze ochłonęli z niespodziewanego wrażenia, łopata dźwignęła się błyskawicznie unosząc ze sobą większą część banknotów, przylepionych miłośnicie do miodu, i wysunęła się zgrabnym piruetem za okno. Kilku graczy zerwało się i pobiegło do wyjścia chcąc ratować unoszony na łopacie „bank“. Stłoczyli się jednak przeszkadzając sobie wzajemnie przy wąskich schodkach wiodących na ulicę, a tymczasem pomysłowy bartnik z łopatą był już daleko.

Jakiś kupiec zaczął głośno kwilić jak niemowlę, grubo bysnessman amerykański biegał nerwowo po izbie wyrwijąc resztki włosów z tysej głowy, młody porucznik wyjął z kieszeni ogromnego „Nagana“ i próbował wdrapać się, nie wiadomo po co, na okno, reszta kłębiła się rozpaczliwie przy schodkach wiodących na górę.

Któregoś dnia wczesnym rankiem przybiegł do mej pałatki zdyszany ordynans dowódcy batalionu z rozkazem natychmiastowego stawienia się przed obliczem pułkownika. Okazało się, że w pobliżu Słowianki zakotwiczył się na oceanie krążownik „Ruryk“, który przywiózł francuskich gości, pragnących zwiedzić naszą osadę. Pułkownik deleguje mnie, jako jedynego oficera w garnizonie znającego język francuski, do przewiezienia zagranicznych gości i oprowadzenia ich po uroczyszczu w charakterze tłumacza. Dowódca objaśnił mi, jak schbie wyobraża ich przyjęcie i oprowadzenie po osadzie.

— Kazałem porucznikowi Pietrowowi, aby przez czas wizyty żaden z naszych żołnierzy nie odważył się pokazywać na oczy. Przecież oni wyglądają jak jacy zbójce. Goście gotowi by pomyśleć czort wie co.

Nie minęło dziesięć minut, gdy płynąłem w swej żagłowiec w stronę „Ruryka“, zakotwiczonego o kilkaset metrów od brzegu. Z pokładu krążownika dawano mi znaki, żeby nie podplynać od strony nawiefrznej, gdyż łatwo roztrząskać łódź o burzę okrętu. Potraktowałem nonszalancko te ostrzeżenia i z fasonem podplynałem pod trap wiszący właśnie od strony wiatru. Ustawwszy prawidłowo żagłówek, aby kołysała się zgodnie z ruchami krążownika, wdrapałem się po trapie na pokład.

Po zameldowaniu się u dyżurnego oficera zostałem przedstawiony francuskiemu admirałowi i jego dwóm adiutantom oraz oficerom „Ruryka“.

Po wzajemnej wymianie ukłonów i innych grzeczności duża łódź żaglowa przewiozła Francuzów i kilku oficerów „Ruryka“ na brzeg do Słowianki, gdzie zostali przyjęci z należytymi honorami przez naszego pułkownika i oficerów batalionu.

Gdy wszyscy poszli zwiedzać osadę, francuski admirał wykazywał wielkie zainteresowanie dokonanymi pracami. Polecał adiutantowi notować swoje spostrzeżenia mówiąc:

— Parbleu! Ca surpasse toute idee. Voila comment il faut comprendre un vrai travail de pionnier. Il faut publier cela dans la presse mondiale. Prenez en note, mon lieutenant.*)

W tejże chwili admirał zauważył na pobliskich wzgórzach coś szczególnie interesującego. Podążyłem za je-

*) Do licha! To przechodzi wszelkie pojęcie. Oto jak powinna wyglądać prawdziwa praca pionierska. Należałoby to opublikować w prasie światowej. Niech pan notuje, poruczniku.

PIERŚCIEŃ

(2)

KARDYNAŁA

Napisał: MARIAN PODKOWIŃSKI



Mały Konrad urodził się w Kolonii jako syn pruskiego oficera, w tym samym czasie kiedy Bismarck został honorowym obywatelem tego miasta...

DOPIERO wnuk założyciela dynastii Werhahnów, Piotr, potrafił wykorzystać koniunkturę, jaka panowała w Nadrenii po sędzińskiej klęsce Francji i powstaniu niemieckiego cesarstwa. Kiedy stary Krupp powiększał swoje zbrojownie w Essen, Piotr Werhahn kupował lasy, zakładał cukrownie, budował domy, kopał węgiel brunatny, tworzył rafinerie i olejarnie i dawał kapitały na wysoki procent. Pobierano się w rodzinie, więc majątek nie rozdrabniał się i nie topniał. Cały patrycjat w Neuss — to była w gruncie rzeczy jedna rodzina Werhahnów, Fringsów, Jostenów, Heinemannów i Thywisenów. A nad wszystkimi, jak u Fuggerów ich najstarszy brat — Jakób Bogaty — rządził Piotr Wilhelm Werhahn, dźwigający u szczytu bogactwa już ósmy krzyżyk na opasym karku.

W miarę jak rosły przygotowania Wilhelma II do wojny — rosła fortuna Werhahnów. Był on dostawcą dla wojska; handlował bowiem wszystkim: mąką, oliwą, tłuszczami i mlekiem, winem, piwem i wódką, drzewem, mydłem i artykułami spożywczymi. Miał na składzie kamienie bazaltowe i tekstylia, papier gazetowy i brykiety, wędliny i wyroby stalowe. Można było kupić u niego hurtowo wszystko — od kołyski do trumny.

Kiedy wojna się skończyła i w Berlinie ogłoszono republikę weimarską, rodzina Werhahnów zaprzęgnięta była gruntowniem swojej potęgi przemysłowej. Wtedy to nazwano Wilhelma Werhahna (syna) „królem elektryczności”. Został on bowiem prezesem rady nadzorczej RWE (Reńsko-Westfalskie Zakłady Elektryczne), mając równocześnie udziały w wielu innych towarzystwach produkcji energii elektrycznej. W okresie Trzeciej Rzeszy koncern Werhahna liczył 25 przedsiębiorstw przemysłowych, a ich właściciel uważany był za jednego z najbogatszych ludzi w Niemczech.

Po upadku Trzeciej Rzeszy, Werhahn ze wszystkich innych zbrojmistrzów Hitlera stracił najmniej. Przeciwnie, odkupił wiele akcji, pozyskał nowe kontrole nad rozmaitymi zakładami i koncernami. W roku 1952 majątek Werhahnów należał — wedle rejestru sądowego — wyłącznie do tej rodziny, powiększonej jeszcze o Kurfa Adenauera (bratanka kanclerza), który poślubił córkę Werhahnów.

Kiedy „następca tronu” Werhahnów, Hermann Josef, otrzymał od ojca spory pakiet akcji koncernu węglowo-stalowego Hoescha (który dał mu z miejsca fotel w zarządzie), pomyślano wtedy o jego ożenku. Zwrócono się — jak zwykle w takich sprawach — do patrona rodu, kardynała Fringsa. Ten wskazał na jedną tylko „partię”: na młodą Libeth, córkę swego sąsiada z Rhoendorf, Konrada Adenauera.

Mieszkańcy starożytnego Neuss nie lubią intruzów. Obcy człowiek czuje się źle w tym mieście młynarzy i handlarzy drzewa, którzy doszedłszy do magnackich fortun, strzegli worków złota jak legendarny Minos swoich skarbów. Ale Konrad Adenauer nie był tutaj intruzem. Był księciem z krwi i krwią z krwi zajadłych wyzyskiwaczy tej ziemi.

Kiedy stary Werhahn wrócił z wizyty od kardynała, w piwnicach Neuss pito na koszt dziedzica fortuny.

W pół roku później ks. Paul Adenauer i ks. prałat Werhahn zaprosili kardynała Kolonii na weselne gody.

Kiedy prałat Boehler zjawił się rano w pokoju prywatnym kardynała, arcybiskup Frings już dawno nie spał. Siedział pochylony nad biurkiem i pisał. Szelest sutanny Boehlera obudził kardynała jakby z zamyślenia. Odwrócił się żwawo i zawołał:

— O, jak to dobrze, żeś przyszedł dzisiaj nieco wcześniej. Mam rzecz pilną na sercu. Muszę kupić prezent ślubny dla pana młodego. Przecież to mój chrześniak... A może dać mu ów pierścień z ametystem, który ofiarowałem nam w dowód wdzięczności młody Krupp? Jak myślisz, Boehler?

Pamięta jeszcze jak dziś. Było to w marcu roku 1948, na uroczystościach katolickich w Essen. Przemawiał wtedy do młodzieży. Jeden z przedstawicieli tego miasta zwrócił się do niego, aby interweniował w sprawie Alfrieda*) Kruppa, który odsiadywał wyrok w Landsbergu.

*) Skrót od Alfred-Friedrich, założyciela dynastii Kruppów.

Kardynał pamiętał jeszcze jego ojca Gustawa i pokazne czeki, jakie Krupp przekazywał corocznie na budowę kościołów. Choć protestant, stary Krupp nie zapominał, że Zbawiciel pozostawił swego namiestnika w Rzymie...

— Pierścień z ametystem — rzekł po chwili Frings do Boehlera — leży na górnej półce sekretary. Daj mi go!

Kiedy Boehler wyszedł, kardynał wstał od stołu i wolno przechadzał się po pokoju, dotykając paciorków różańca.

W Essen było wielu ludzi na rynku, kiedy przemawiał z balkonu Rady Miejskiej. Marcowe słońce przedzierało się przez chmury, padając na las kominów w zakładach Kruppa. Wszystko co było w tym mieście należało do Kruppa: magistrat, kościoły, cmentarze...

Pamięta jeszcze słowa, które wtedy rzucił w tłum pobożnych młodzieńców — z Sodalicji Mariańskiej.

„Zakłady i rodzina Kruppa uczyniły z Essen w ciągu ostatnich dziesięciu lat duże miasto. Rodzina Kruppa wykazała, że ma zrozumienie dla warunków społecznych... Mieszkańcy Essen byli dumni z tego, że mogli pracować u Kruppa. Jeżeli ktoś miał prawo, aby otrzymać honorowe obywatelstwo miasta Essen, to z całą pewnością głową domu Kruppa. Nie mam, naturalnie, możliwości, aby zorientować się, jak dalece firma ta ponosi odpowiedzialność za wojnę napastniczą. Nie zamierzam w to wnikać, jednakże nikt nie może mieć mi za złe, jeżeli wyrażę w tym miejscu współczucie dla losu tej rodziny niegdyś tak wysoce poważanej...”

Tak powiedział. Ludzie nie bardzo wtedy wiwatowali, pochodzili bowiem z Essen. Prasa nawet skrytykowała go. Musiał pyskaczy piętnować z katedrałnej ambony. Podziękowania doczekał się dopiero wtedy, gdy odwiedził go młodszy brat uwieczniony Kruppa, Bertold von Bohlen. Przyniósł mu ów pierścień z ametystem, na którym inkrustowane były trzy złęczone ze sobą koła — znak fabryczny firmy Krupp. Ten sam znak był na armatach i czołgach Kruppa. Powiedział wtedy do kardynała: „Na pamiątkę od rodziny Krupp. Nosił go jeszcze nasz pradziad Friedrich, który odlewał pierwsze armaty na wojnę z Francją...” Był to więc niejako klejnot rodzinny, ofiarowany kościołowi na intencję uwolnienia Alfrieda...

Czyż taki pierścień nie był godnym prezentem dla jego chrześniaka Werhahna? Ten podarunek symbolicznie łączył przecież nie tylko dwa rody, ale i dwie największe fortuny w Niemczech. Fortuny, nad którymi zawsze czuwał kościół.

Kiedy prałat Boehler podał kardynałowi atlasowe puzderko, Frings usiadł na wielkim fotelu i powołał go otworzył. Na różowym aksamicie spoczywał gruby sygnet z ametystem. Był fioletowy jak biskupie barwy. W blaskach porannego słońca, które poprzez firanki ślizgało się po palisandrowym blacie biurka, pierścień opalizował promieniami tak przenikliwymi, jak

piekący bywa żar w hutniczych piecach stalown Kruppa.

— A co Eminencja postanowił ofiarować pannie młodej? — zapytał nagle ks. Boehler.

— Jeszcze nie wiem — odpowiedział kardynał, bawiąc się pierścieniem. — Myślę, że nad tym trzeba się głębiej zastanowić. Trzeba znać Konrada, aby zrozumieć o co mi chodzi.

— ...Tak, trzeba znać mojego Konrada — powtórzył sam do siebie kardynał i pociągnął za sznur przy firankach.

U drzwi zjawił się ojciec Siemen.

— Eminencjo? — zapytał od proga.

— Proszę cię, Siemen, przynieś mi z biblioteki akta miasta Kolonii, wiesz, te same, któreśmy wczoraj razem wertowali...

— Czy wszystkie zeszyty, czy też tylko te, które dotyczą rodziny Adenauerów? — spytał Siemen.

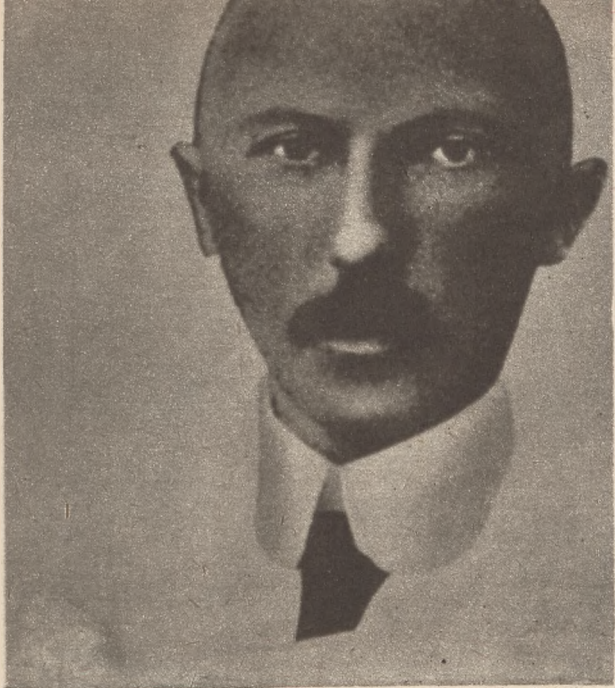
— Tylko te ostatnie...

I zwracając się do Boehlera, dodał:

— Nikogo dzisiaj nie przyjmę. Postanowiłem przeczytać niezwykle dzieje jednego człowieka — mego rówieśnika. Nazywano nas wtedy „kolońskim klanem”...



Niestawny koniec imperialistycznej armii. Wojska kajdera wracają do Niemiec. Adenauer jako nadburmistrz Kolonii postarał się o to, aby szczątki armii zostały natychmiast przerzucone do Berlina, gdzie masy robotnicze święciły wybuch rewolucji



Adenauer, „pupilek tajnych radców“, został wybrany nadburmistrzem Kolonii w 1917 roku jako „jeden z najbardziej klerykalnych polityków w Nadrenii“

W STYCZNIU ROKU 1951 Kolonia miała wielką atrakcję karnawałową. Rada Miejska wiernej córy „rzymskiego kościoła“ (jak jeszcze w XX wieku głosił napis na pieczęci miasta Kolonii) postanowiła kancle-rzowi Adenauerowi nadać honorowe obywatelstwo rodzinnego miasta w 75 rocznicę urodzin... Mszę pontyfikalną w kolońskiej katedrze celebrował kardynał Frings w asyście ks. prałata Boehlera. Stroną recepcyjną zajęli się dwaj przyjaciele kancлера — bankierzy Pferd-menges i von Schroeder, ci sami, którzy finansowali ohgi rozmaite imprezy NSDAP. Koloński klan wystąpił w całej okazałości, jak tego wymagała ta niecodzienna uroczystość. Adenauer został bowiem dziesiątym w historii tego miasta „honorowym obywatelem“. A na liście jego poprzedników znajdujemy nie byle jakie nazwiska: „żelaznego kancлера“ Bismarcka i zwycięzcę spod Sedanu — feldmarszałka Moltke.

Konrad Adenauer urodził się w Kolonii 5 stycznia 1876 roku. Był to czas cementowania cesarstwa niemieckiego po zwycięstwie nad Francją. Ojciec Konrada był skromnym urzędnikiem sądowym, kiedy Bismarck wypowiedział Austrii wojnę, dążąc do zagarnięcia duńskiego Szlezewu. Biograf rodziny Adenauerów podaje, że stary Adenauer w bitwie roku 1866 tak odznaczył się „na polu chwały“, że został z „ge-meina“ (szeregowca) awansowany z miejsca na oficera. rzecz niebywała na owe czasy! Po powrocie do Kolonii zostaje od razu radcą sądowym.

Jego syn, Konrad, uczy się pilnie. W roku 1901 kończy prawo w Bonn. Przez pierwsze dwa lata pracuje jako asesor sądowy. Następnie do roku 1906 znajduje dobrą praktykę w kancelarii znanego adwokata kolońskiego, Kausena. Kausen jest nie tylko adwokatem. Jest również znanym, klerykalnym politykiem. Tajny radca Kausen jest bowiem przewodniczącym „Centrum“ w miejskim parlamencie. Trzęsie zatem praktycznie całym miastem. Kiedy więc w roku 1906 zwalnia się miejsce ławnika w kolońskim magistracie, tajny radca Kausen wysuwa kandydaturę swego pupilka. Adenauer zostaje 10-tym ławnikiem i obejmuje resort podatkowy. Król pruski, który potrzebuje stale pieniędzy na nowe zbrojenia, znajduje w młodym ławniku wernego i gospodarnego sługę.

Za rządów Wilhelma II kończy się w Kolonii — jak i w całym Prusach — okres konserwatywnego liberalizmu. Liberalizm wypierały elementy klerykalno-konserwatywne. W Nadrenii rządzi wszechwładnie katolickie „Centrum“, które každy podmuch wolności dusi w zarodku. W Kolonii i w innych miastach reńskich rządzi pruski statut, odbierający robotnikom prawo wyborcze. Oligarchia finansowa trzyma w swoim ręku wszystkie miasta tej najbogatszej i najbardziej uprzemysłowionej części cesarstwa niemieckiego. Klany rodzinne rządzą poszczególnymi miastami i koncernami, a w związkach małżeńskich z arystokracją i domami panującymi znajdują ukoronowanie swego pochodu.

W roku 1912, kiedy coraz liczniejsze prowokacje dyplomatyczne Wilhelma II zwiastują nadciągającą burzę, w magistracie Kolonii wakuje miejsce pierwszego ławnika i zastępcy burmistrza. Owczesny burmistrz Kolonii, znany reakcjonista Wallraf, pragnie swemu zastępcy powierzyć również resort finansowy i podatkowy, jak i reprezentację miasta. Chodzi o to, aby w obliczu przygotowań wojennych jak najwięcej pieniędzy wydusić od podatników, aby rozbudować w mieście twierdzę i zapewnić dopływ rekruta. A 800-tysięczna Kolonia ma dać prawie 100 tysięcy żołnierzy królowi i cesarzowi! Trzeba więc budować nowe składy, magazyny, koszary, poligony, zorganizować sztab egzekutorów i naganiancy — ku większej chwale króla Prus. Na stanowisko pierwszego ławnika potrzeba więc nie tylko zdolnego urzędnika, ale przede wszystkim polityka o „wyrobionym światopoglądzie“... Wallraf i tajny radca Kausen wskazują na Adenauera. „Centrum“ wysuwa oficjalnie jego kandydaturę — przeciwko liberalom. Konserwatyści i klerykałowie wybierają oczywiście Adenauera. Prasa liberalna wścieka się. „Najmłodszy, ale za to najbardziej klerykalny ławnik!“ — pisze o nim „Koelner Tageblatt“. Pupilek tajnych radców jeszcze do nam się wie znaki... — przepowiada — jakże proroczo! — inny organ liberalnej opozycji, „Koelnische Zeitung“. Ale gazeta frakcji „Centrum“ „Koelnische Volkszeitung“, która stanie się wkrótce organem Adenauera, pieje z zachwytem. „Czas, w których żyjemy — pisze on — wymagają bogobojnych, ale energicznych ludzi... Ławnik Adenauer cieszy się zaufaniem i sympatią wszystkich pobożnych ludzi...“

Pensja Adenauera — 19 tysięcy złotych marek rocznie, suma na owe czasy wprost zawrotna — pozwala elektowi myśleć o założeniu rodziny. Za żonę bierze córkę kolońskiego patrycjusza, Emmę Weyer. Siubu w kościele św. Jerzego udziela mu jego dawny kolega z ławy uniwersyteckiej, ks. infułat Josef Frings. Z małżeństwa tego narodził się syn, Paul, którego później biskup Frings wyświęcił z czasem na księdza w katedrze bońskiej.

Dalszy ciąg nastąpi

SWIAT

o tym wie!



Literat Wepman

Przystojny młody człowiek z Nowego Jorku nazwiskiem Dennis Wepman nosił się od dłuższego już czasu z zamiarem napisania „dobrej kryminalnej powieści“. Brakło mu jednak odpowiedniego tematu. Wreszcie w r. 1951 nadarzyła się świetna wprost spo-

sobność. Poznał innego młodzieńca — Harlow Fradena — który zwierzył mu się po paru kieliszkach, iż chciałby się „pozbyć“ swych rodziców. Są nudni i dokuczają moralizatorstwem — mają natomiast wiele pieniędzy, które by się bardzo przydały.

Wepman uznał to za dobry pomysł i za... doskonały temat do książki. Wspólnie opracowali plan i udali się do rodziców Fradena. Tam dali staruszkom do wypicia roztwór cyjanku potasu. Po fakcie upozorowali podwójne samobójstwo...

Po kilku tygodniach zbrodnię przypadkowo odkryto. Oba ujętych przestępców, a właściwie morderców, skazano na 20 lat więzienia. Po prze-wiezieniu do więzienia Sing Sing Wepman zajął maszyny do pisania. Był już widocznie gotów do „pracy twórczej“.

Wszystkie powyższe szczegóły podajemy za amerykańskim tygodnikiem „Time“. Nic nie zostało dodane, pominęliśmy tylko szczegóły samego morderstwa. Jest to tylko drobny wycinek z życia młodzieży w USA, karmionej od dzieciństwa „comicsami“, kryminalną powieścią, gangsterskim filmem. Rezultaty — jak wyżej!

IAK ZWIERZĘTA...

Dziennik „New York Herald Tribune“ w n-rze z dn. 2 lipca 1954 drukuje artykuł pt. „Ogrody zoologiczne dla umysłowo upośledzonych“, w którym czytamy m. in.:

„Nikt chyba nie zamknąłby dziecka w ogrodzie zoologicznym, a przecież taki właśnie los przypa- dło w udziale kilkuset tysiącom umysłowo upośledzonych dzieci w 200 zakładach rozsianych po naszym kraju (tzn. Stanach Zjednoczonych). Mieszkają jak zwierzęta i żyją jak zwierzęta...“

„Sprawozdanie poniższe może zaniepokoi rodziców tych dzieci, niemniej jest ścisłym opisem warunków panujących we wszystkich tego rodzaju zakładach z bardzo nielicznymi wyjątkami. Co więcej, stanowe władze ustawodawcze nie czynią praktycznie nic, by te warunki zmienić.“

„Dzieci są z reguły słoneczne w wielkich salach — 100 łóżek albo i więcej w każdej, odstęp między łózkami wynosi mniej niż jedną stopę. Przez cały dzień walają się po salach, otoczonych drewnianymi ławkami... Spędzają dzień po dniu bez żadnego zajęcia...“

„Ostatnio na zebraniu Amerykańskiego Towarzystwa Psychiatrycznego administrator jednego ze stanowych szpitali oświadczył innym administratorom szkół dla dzieci umysłowo upośledzonych, że ich zakłady są okropne. Dr H. A. Taurmainz, dyrektor zakładu dla umysłowo chorych w stanie Delaware, stwierdził, że jego zakład jest jednym z najlepszych w kraju, ale panują w nim straszliwe warunki, a większość pozostałych zakładów znajduje się w jeszcze gorszym stanie...“

„Tak wygląda los około 1.600.000 osób w Stanach Zjednoczonych, które należałoby zaklasyfikować do kategorii umysłowo upośledzonych. Nie sposób zahamować przyrostu nowych przypadków, gdyż źródła niedorozwoju umysłowego są na ogół nieznane...“

Tak żyją chore dzieci w USA... Jak zwierzęta — powiada amerykański dziennik.



ZNAKOMITY WYCZYN FOTOGRAFA

Zdjęcie jedyne w swoim rodzaju: stado lwów sfotografowane z odległości mniej niż 10 metrów. Tego niezwykłego wyczynu dokonał John J. Hayward, fotograf an-

gielski, który wdrapał się na drzewo i cierpliwie czekał nocą, uzbrojony w aparat z błyskiem. Światło błysku bynajmniej nie wzbudziło niepokoju

wśród zwierząt, karmiących się pod sąsiednim drzewem. Zdjęcie zrobione zostało w rezerwacie Etosha Pan, w Afryce Południowo-Zachodniej.



Od i do Czytelników

Prosiłiśmy naszych Czytelników, aby pisali do nas o najrozmaitszych nurtujących ich problemach, o swoich obserwacjach, zarówno pozytywnych, jak i krytycznych, o rozmaitych bolączkach, które można i należy usuwać.

Czytelnicy podjęli ten nasz apel — a jako że urlopy są w tej chwili sprawą jak najbardziej aktualną — mamy np. dość dokładny obraz tegorocznych czasów. Z listów nadsyłanych z nad morza i z gór, z Dolnego Śląska i z nad jezior — możemy wnioskować już teraz, jakie niedociągnięcia — cechujące czasy w ubiegłych latach — zostały usunięte, a jakie braki dotychczas jeszcze pokutują w niektórych ośrodkach czasowych. W jednym z najbliższych numerów — podsumujemy w naszym dziale organizację tegorocznych czasów — w oparciu właśnie o głosy naszych Czytelników.

Sprawa to wcale nietatwa — świadczy o tym choćby następujący przykład:

W numerze 29 naszego tygodnika zamieściliśmy na tym miejscu krytyczny list naszego Czytelnika z czasów w Międzygórzu. Czytelnik nasz punkt po punkcie krytykował zauważone przez siebie niedociągnięcia. Otóż ostatnio nadeszła, można by tak to nazwać — replika od innego Czytelnika, który — jak się okazuje — spędzał czasy w tym samym domu, w tym samym okresie, ale te same sprawy widział nieco inaczej. — Pisze on mianowicie tak:

Szanowna Redakcjo!

W związku z artykułem ob. Kamińskiego w dziale „Drogi Czytelniku” pt. „O złych gospodarzach czasów”, zamieszczonym w n-rze 29 (156) Waszego tygodnika, pragnę od siebie dodać kilka słów. Zaznaczam, że nie chcę polemizować z autorem omawianego artykułu, wydaje mi się jednak, że autor zbyt subiektywnie naświetlił niektóre „denerwujące” go bolączki i niedociągnięcia i kto wie, czy nie należy do tzw. wiecznych malkontentów, którzy widzą wszystko jak w krzywym zwierciadle.

Piszę dlatego, ponieważ również byłem na czasach w Międzygórzu i to akurat w tym samym czasie tj. od 5—18.VI.br. Ponieważ zaś, jak tysiące innych spośród świata pracy, korzystam prawie co rok z tego rodzaju osiągnięć naszej Ojczyzny i byłem już w Świeradowie - Zdroju, Szklarskiej Porębie, Bierutowie i Łądku - Zdroju, to porównując tamte urlopy z tegorocznymi czasami należy się raczej dla Administracji Ośrodku Czasów Długopole - Międzygórze podziękowanie za organizację, dbałość i uprzejmość.

A więc załatwianie czasowiczów zarówno w Ośrodku, jak i w administracji D.W. odbywa się szybko i sprawnie. W D.W. „Gigant”, gdzie mieszkam, jest

wzorowy porządek. W każdym pokoju woda gorąca i zimna. Czytelnia posiada różnorodne czasopisma, jest pokój do gier, dość obszerna świetlica pierwszorzędnie urządzona itp. Olbrzymia sala jadalna mieszcząca ponad 200 stolowników, którzy są szybko, uprzejmie i sprawnie obsługiwani.

Ze względu na nieliczny personel, stolownicy nie mogli być obsłużeni przy stołach w ciągu paru minut, więc z tego powodu (byłem naocznym świadkiem) jeden z czasowiczów urządził awanturę, bo on „zbyt długo czeka na posiłek”, co wszyscy inni przyjęli z niesmakiem.

Jest nawet zorganizowana pomoc lekarska — lekarz i pielęgniarka — w godzinach przedpołudniowych i wieczornych.

Obecnie chciałbym powiedzieć parę zdań co do konkretnych zarzutów:

Bariery przy wodospadzie, aczkolwiek nie są maszynowe lub b. mocne, jednak są i nie można twierdzić, że ich brak.

Trudnym wydaje się, aby przy krzewach i kwiatach byli postawieni stróże uniemożliwiający ich zrywanie i niszczenie. Wina leży raczej po stronie czasowiczów nie zdających sobie sprawy z poszanowania własności społecznej. Z tym spotykamy się, niestety, jeszcze wciąż w swym życiu codziennym nie tylko na czasach. Jest to nasza nagminna plaga, z którą winniśmy wszyscy walczyć, aby wykorzenić ten wandalizm.

Komunikacja autobusowa istotnie pozostawia trochę do życzenia, jak też niedostateczne jest zaopatrzenie kiosku w czasopisma. Oczywiście były i inne usterki — raczej drobne.

Należałoby podkreślić, że oprócz stale organizowanych wycieczek i wieczorków tanecznych, odbywały się również wieczorki literackie i rozmaite ciekawe konkursy z nagrodami książkowymi.

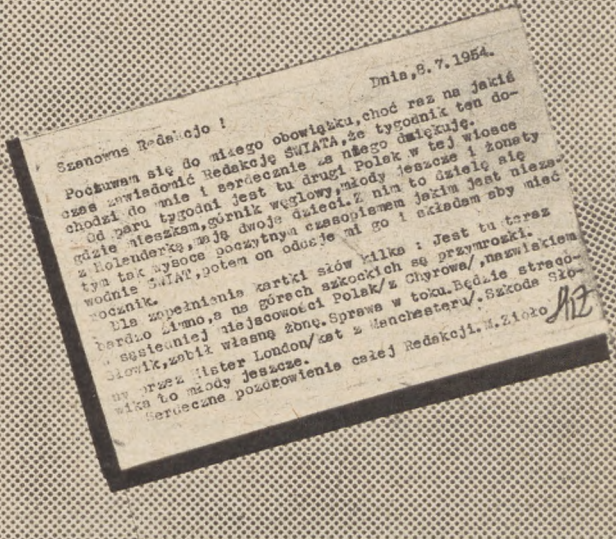
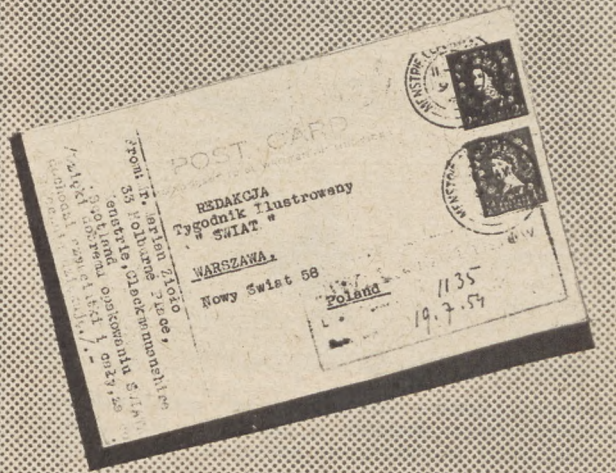
Reasumując powyższe, stwierdzam, że korzystając w należyty sposób z tej olbrzymiej i tak ważnej zdobyczy ludzi pracy, jaką są czasy — można w kulturalny sposób spędzić czas, wypocząć i nabrać nowych sił.

Zdaję sobie w zupełności sprawę, że krytyka jest konieczna i pomaga nam do usuwania braków i niedociągnięć, lecz nie należy być stronniczym i ukazywać wyłącznie tylko złe i ciemne strony w danej sprawie, pomijając wszystko to, co jest godne pochwały.

Szanowna Redakcjo! Nie piszę tego celem umieszczenia w Waszym poczytnym piśmie, bo są ważniejsze problemy do zamieszczenia, a ja nie jestem ani literatem czy publicystą, tylko skromnym pracownikiem, ale piszę, jak zaznaczyłem już — dla małego sprostowania.

Antoni Buń, Gorzów Wlkp.

KARTKA ZE SZKOCJI



CO SPOSTRZĘGŁA SYRENKA



Tym razem będzie mowa nie o tym, co spostrzegła Syrenka, ale o tym, co Syrenka usłyszała.

A jak się stało, opowiem: Syrenka spotkała znajomych, którzy wprowadzili się niedawno do nowego mieszkania na Starym Mieście, przy ul. Piwnej, między Placem Zamkowym a Zapiekiem. Na niezbyt oryginalne pytanie Syrenki: „Co słychać?” — znajomi, milcząc, wymienili między sobą spojrzenia — a w spojrzeniach tych było tyle rozpaczy, że Syrenka poważnie się zaniepokoiła.

Dopiero teraz zauważyła, że od czasu, kiedy widziała ich po raz ostatni, zbledli, wychudli, stali się ogromnie nerwowi. Cała trójka zasiadła nad kawą w kawiarence staromiejskiej przy Kamiennych Schodkach.

— Czy coś się stało złego? — spytała nieśmiało Syrenka.

— Nie... tylko to mieszkanie... — Jak to? Słyszałam od Zosi, że mieszkanie wprowdźcie malutkie, ale uroczyste. No i punkt!

— Właśnie ten punkt — zaszlochala znajoma.

— Nic nie rozumiem; punkt przecież wspaniały! Wszyscy wam zazdroszczą, że możecie mieszkać na pięknej Starówce, która jest dumą...

— Zazdroszczą! — ironicznie zachichotał znajomy. I nagle groźnie zapytał: — Jak myślisz, ile czasu człowiek może nie spać?

— ???

— Nie, jeszcze nie zwirowałem — sucho wyjaśnił — choć niewiele już brakuje. — Po czym, zamiast cukru, papierosa wrzucił do kawy i nerwowo zamieszkał łyżeczką.

Ponieważ Syrenka należy do osób, które sprawdzają naocznie (w tym wy-

padku „nauszenie”), jak rzeczywiście przedstawiają się sprawy, które porusza w tym dziale — skorzystała z zaproszenia znajomych i udała się z nimi do mieszkania na Piwnę.

Jasne jest, że mieszkańcy Starego Miasta posiadają przedmioty użytkowe w postaci aparatów radiowych i patesonów. Dzięki temu Syrenka miała okazję jednocześnie wysłuchać koncertu z Budapesztu, pogadanki rolniczej o hodowli królików, sprawozdania z meczu Polska-Bulgaria, „Marynki”, „Leci ptaszek”... Nie mogła tylko porozmawiać ze znajomymi, których tak dawno nie widziała. Postanowiła więc pożegnać się. Gospodarze jednak zaproszali energicznie i zatrzymali ją na noc. Ponieważ słowo mówione było tu bezużyteczne, napisali na kartce „Kochana Syrenko, zostań u nas na noc. Kłopotu żadnego nam nie sprawisz, bo i tak o spaniu mowy być nie może”.

Nadeszła noc. Nad malowniczymi dachami Starówki pojawił się księżyc, srebrną poświatą rzeźbiąc gotyckie wykusze, romańskie stiuki oraz sgrafitta współczesnych twórców.

Poza tym jeszcze jeździły bez przerwy rozklekotane taksówki, dowożące spragnionych rozrywki mieszkańców wielkiej Warszawy do lokali mieszczących się na Rynku. Auta wjeżdżały i wyjeżdżały, a hałas czyniony przez nie przypominał przemarsz czołgów.

Monotonie tę od czasu do czasu przerywał kullg dorożek konnych, których pasażerowie, rzecz jasna, nucili „Wio koniku!” Nie można tu oczywiście pominąć solistów pieszych; ci ugasiwszy pragnienie w zdroju „Krokodyla” popularyzowali poważny repertuar operowy. Lojalnie trzeba przyznać, że największym ugnaniem cleszy się aria Jontka z „Haliki”.

Kiedy nadszedł świt, Syrenka była już w kresu wytrzymałości. Noc spędzona na Piwnej wyrwała na jej buzi niezatarte piętno i gdyby posadzono ją wtedy obok mistrza Solskiego — wyglądałaby na jego starszą siostrę.

A kiedy na zegarze staromiejskim wybiła godzina piąta, Syrenka z krzykiem zerwała się na równe nogi. Gospodyni wzięła ją w ramiona, a gospodarz ojcowskim gestem głasknął po głowie: to nie bombardowanie, to furgon z mlekiem zajechał przed jedynym sklepem spożywczym na Starówce, a załoga jego wprawdzie zrzucała bańki z mlekiem na bruk. Syrenka zemdlała.

Oczucona apeluje w imieniu mieszkańców Piwnej do mieszkańców Piwnej i czynników miarodajnych, aby:

- a) z radioaparatów i patesonów korzystali tak, by sobie wzajemnie nie zaturwali życia,
- b) furgon mleczarski wjeżdżał bez kawalerskiej fantazji, a pracownicy Centrali jajczarsko-mleczarskiej nadmiar sił wyżywiali w rzucaniu kulą, młotem, dyskiem i to na boisku — a nie baniek z mlekiem na ulicy,
- c) osoby o wybujałych talentach śpiewczych powinny być karane mandataми za zakłócenie spokoju publicznego w celu oduczenia ich od produkowania się na „wolnym powietrzu”.

Czy nie należałoby również zastanowić się nad tym, aby pojazdy mechaniczne i niemechaniczne od godz. 22 zatrzymywały się — ze względu na wyżej podkreślony rezonans wąskiej ulicy Piwnej — na Placu Zamkowym oraz żeby wycieczki nie rozpoczynały zwiedzania Starego Miasta wcześniej niż o godzinie 8?

Bo cóż — Syrenka zanurzy się w falach Wisty, natomiast mieszkańcy ulicy Piwnej rano udadzą się do pracy nie wypoczęci.

SWIAT

TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy Świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-41-64. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-24-11. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju ze zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych PPK „Ruch” Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 805-05.

Zakłady Wkłóśłodrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa” Warszawa, Okopowa 58/73.

Zam. Nr 457. Papier rotogr. V/80—82 cm — 5-B-14353 podpisano do druku 11.VIII.54.

LENGREN



— Może pan nam wyrzuci piłkę z autu...

SZACHY

Przed paroma tygodniami zakończony został w New Yorku towarzyski mecz szachowy między drużynami ZSRR i USA. Spotkanie było rozgrywane na 8 szachownicach, przy czym na każdej z nich grano po 4 partie. Mecz, który spotkał się z olbrzymim zainteresowaniem miłośników gry szachowej w Stanach Zjednoczonych, został uwieńczony sukcesem szachistów radzieckich. Zwyciężyli oni w stosunku 20:12.

Poniżej zamieszczamy partię rozegraną w IV rundzie tego meczu między mistrzem USA A. Bisguier'em a reprezentantem ZSRR arcymistrzem Petrosjanem.

PARTIA NR 120 Obrona indyjska

Białe: A. Bisguier (USA)
Czarne: T. Petrosjan (ZSRR)
1. d2-d4 Sg8-f6 2. c2-c4 c7-c5 3. Sg1-f3
Aktywniejszą kontynuacją jest 3. d5 e6 4. Sc3 e:d5 5. c:d5 d6 6. e4

3... c5:d4 4. Sf3:d4 Sb8-c6 5. Sb1-c3 e7-e6 6. g2-g3 Gf8-c5 7. Sd4-b3

Niewygodne było 7. Ge3 ze względu na 7... Hb6 8. Sa4 Gb4+

7...Gc5-e7 8. Gf1-g2 0-0 9. 0-0 d7-d6 10. e2-e4

Bardziej logiczne było 10. Sd4 Gd7 11. b3. Posunięcie w tekście jest słabsze, gdyż przesłania przekątną h1-a8.

10... Sc6-e5 11. Hd1-e2 Hd8-c7 12. Sb3-d2 a7-a6 13. b2-b3.

Silniejsze było 13. a4, co nie dopuszczało do b7-b5.

13... b7-b5 14. f2-f4 Se5-c6!

Bić na b5 nie można; 15. c: b5 a:b5 16. S:b5 Hb6+ 17. Kh1 Gm5 itd.

15. Gc1-b2 b5-b4 16. Sc3-d1 a6-a5

Czarne nacierają na skrzydle hetmańskim, na co amerykański mistrz odpowiada atakiem na pozycję króla.

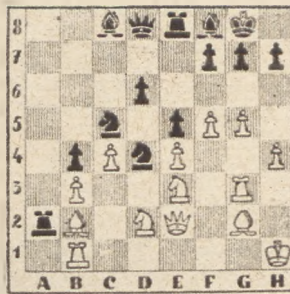
17. Sd1-c3 a5-a4 18. Wa1-b1 a4:b3 19. a2:b3 Wa8-a2 20. g3-g4 Sf6-d7 21. g4-g5 Wf8-e8 22. Kg1-h1 Sd7-c5 23. h2-h4

Białe przygotowują f4-f5.

23... Hc7-d8 24. Wf1-f3. Ge7-f8 25. Wf3-g3 e6-e5 26. f4-f5 Sc6-d4

27. He2-f1

Inne możliwości nie były lepsze: 27. G:d4 e:d4 28. Sd5 G:f5, lub 27. Hd1 Sd3.



Pozycja po 26... Sc6-d4

27... Sd4:b3 28. Sd2:p3 Sc5:b3 29. Hf1-e1 Sb3-c5!

Petrosjan oddaje piona, by w zamian za to powiększyć jeszcze przewagę pozycyjną.

30. He1:b4 Gc8-b7 31. Se3-d5 Wa2-a4 32. Hb4-d2 Gb7:d5 33. Hd2:d5 Wa4-b4!

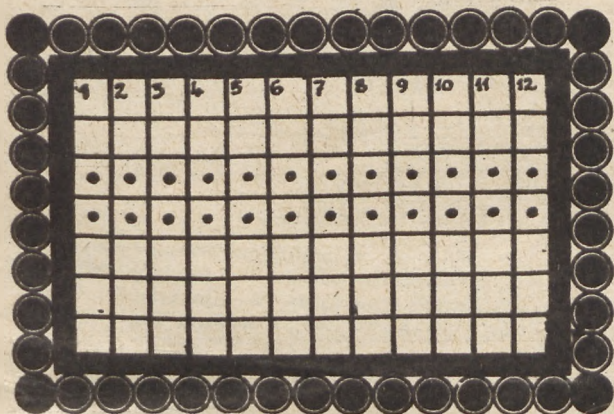
Rozstrzygające uderzenie!

34. Gg2-f3 Hd8-a8 35. Hd5-d2 Ha8-b7 36. Wg3-g2 We8-b8 37. Gf3-d1 Hb7-e4 38. Gd1-c2 He4:c4 39. g5-g6

Wb4:b2 40. g6:h7+ Kg8-h3 41. Wb1-g1 Hc4:h4+ 42. Wg2-h2

Hh4-f4 i białe poddały się.

ROZRYWKI UMYSŁOWE



WYMIERAJĄCE PLEMIE ŁANCYPUPÓW

Dokończenie ze str. 19

go wzrokiem i... zdrętwiałem. Zza drzew i krzaków wyglądały z ciekawością głowy zarośnięte, długowłose, ustrojone w olbrzymie, futrzane papachy. Byli to tak starannie ukryci przez porucznika Pietrowa nasi żołnierze, ogromnie zadowoleni z dogodnego punktu obserwacyjnego, pozwalającego im dokładnie przyglądać się naszym gościom i dzielić się między sobą uwagami na ich temat.

— Qu'est- ce que c'est, ces monstres la?**) — spytał z wielkim zaciekawieniem admirał.

Nie wiedziałem co odpowiedzieć, spojrzałem rozpaczliwie na pułkownika...

— Niech pan mu powie — powiedział ponuro pod wąsem — że to są resztki wymierającego plemienia Lancypupów.

Z niewyraźną miną powtórzyłem Francuzowi tę informację. Admirał ożywił się, był wprost zachwycony nowym odkryciem.

— Oh, c'est tres interessant. Vous avez dit: lansi-poupes, n'est-ce pas?

— Repetez encore une fois s'il vous plait: les lansi-pou-pes?***)

Nigdy nie miałem okazji sprawdzić, czy w fachowych periodykach zachodnich ukazały się jakie wzmianki o tym rewelacyjnym odkryciu demograficznym francuskiego admirała.

Wg opowiadania naocznego świadka

napiisał JANUSZ JEZEWSKI

**) Co to za stwory?
***) Oh, to bardzo interesujące. Pan powiedział Lancypupi, nieprawdaż? Proszę powtórzyć jeszcze raz. Lan-sy pu-pi?

LOGOGRYF

Do pionowych rzędów podanej figury wpisać 12 wyrazów siedmioliterowych o poniższych znaczeniach. Trzecie i czwarte litery tych wyrazów czytane kolejno rzędami pionowymi dadzą rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1) Pracownik kopalni, 2) Rodzaj czasopisma, 3) W mowie potocznej: sportowiec wodny, 4) Rzadkie okazy, 5) Ważny produkt wyjściowy barwników organicznych, 6) Krzew hodowany w ogrodach, 7) Oprawa drzwi lub okna, 8) Leksykon, 9) Głos żurawia, 10) Celowy, nieprzypadkowy, 11) Rodzaj utworu literackiego, 12) Drogocenny metal.

(„Fiedka” — Skarżysko-Kamienna)

Rozwiązanie należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłają prawidłowe rozwiązanie, rozlosowane zostaną nagrody książkowe

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 150

ANAGRAMÓWKA: Oświata i kultura dla mas: (kastor-troska, ściek-d—kiście, lichwa—chwila, tunika—unikat, paczka—czapka, dakota—katoda, pałac—czapla, Anglik—glanka, karmel—makier, ratusz—szuter, laweta—waleta, baszta—sztaba, aukcja—kaucja, kantor—karton, ramota—amator, tundra—andrut, klisza—Ka-lisz, kastet—statek, maszty—szmaty, karter—krater, słowik—Wisłok).

Za dobre rozwiązanie zadania z nr 150 nagrody książkowe otrzymują:

A. Gibalke — Zakopane, A. Cisowski — Radom, J. Gryc — Turowo Pom., J. Hadziowicz — Ursus, L. Herzig — Piotrków Tryb., A. Holdys — Warszawa, G. Jersz — Bytom, J. Korkor — Sopot, W. Kłusiewicz — Wrocław, E. Kozarski — Zabrze, W. Olewski — Wrocław, J. Półtorak — Kraków, M. Rogowski — Wiskitki k/zyrardowa, L. Rutkiewicz — Sosnowiec, M. Soltyskowska — Mysłówice, H. Soucińska — Nowy Targ, H. Staszakowa — Bytom, M. Świniarski — Bydgoszcz, T. Trymbulak — Rzeszów, J. Turek — Kraków.



TANIO i ŁADNIE

Chociaż dopiero teraz wreszcie zrobiło się ciepło — w dzisiejszym odcinku naszego działu po raz ostatni (w tym sezonie) pokazujemy suknie letnie.

Od następnego numeru zaczynamy przegląd modeli jesiennych, a więc: sukien wełnianych, kostiumów, wdzianek, płaszczy i swetrów.

U góry: kostiumik jedwabny z dużym koinierzem z białej piki i białymi guzikami.

U dołu: kostium z piki jedwabnej: koinierz i mankiety lamowane barwną taśmą. Obok — suknia kretonowa z bolerkiem. Ostatni model, to suknia półwieczorowa (do teatru, na tańce).



BIBLIOTEKA LAUREATÓW NAGRODY STALINOWSKIEJ

Aleksy Tolstoj
DROGA PRZEZ MEKĘ

T. I — SIOSTRY. Przel. Władysław Broniewski.

T. II — ROK OSIEMNASTY. Przel. Władysław Broniewski.

T. III — POCHMURNY PORANEK. Przel. Władysław Broniewski i Wacław Rogowicz.

t. I s. 323, t. II s. 337, t. III s. 424 opr. plt. zł 40.—

Wanda Wasilewska
PIEŚŃ NAD WODAMI

T. I — PŁOMIEŃ NA BAGNACH, T. II — GWIAZDY W JEZIORZE,

T. III — RZĘKI PŁONĄ.

t. I — s. 306, t. II s. 284, t. III s. 550 opr. plt. zł 43.50

Konstanty Fiedin
PIERWSZE PORYWY

s. 411

opr. plt. zł 14.—

PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY



PRZYGOTOWANIA DO URLOPU



HUMORYSTA

Bidstrup

Duński rysownik Herluf Bidstrup to jeden z najpopularniejszych postępowych karykaturzystów świata. Od r. 1945 jest współpracownikiem komunistycznej gazety „Land og Folk”. Ulubioną jego formą są rysowane historyjki, w których ze znakomitą humorem ośmiesza słabości ludzkiego charakteru. Ze szczególną pasją demaskuje obłudę tzw. „wyższych sfer” burżuazji. Reprodukujemy obok kilka z rysowanych historyjek Bidstrup.



BEZROBOTNI



MĘCZENNICA